

Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA .COM



4.

Z RAWENNY

ZDZISŁAW MORAWSKI

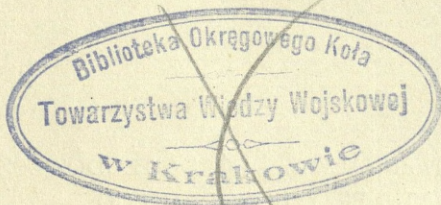
negz/2

Z RAWENNY

PAMIĄTKI RAWENNACKIE. — CÓRKA TEODOZJUSZA.
— OSTATNI PRZYTULEK DANTEGO. —

Z CZTEREMA RYCINAMI

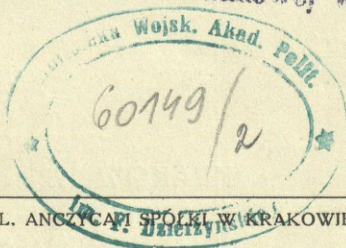
KRAKÓW 1921
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ



~~1000/1~~

~~2510/0~~

Dublet Biblioteki Naukowej WAP



I.

PAMIĄTKI RAWENNACKIE.

Kiedy Dante z Wergiljuszem w zaświatowej swej piegrzymce przechodzi przez ósmy krąg piekła, biją na niego z głębin jaru krwawe płomyki: to błakające się wśród skalnych czeluści, zakłęte w ogień dusze zdradliwych doradców. W pierwszej z tych przelatujących pochodni, rozszczępionej u góry na dwa języki, poznaje Wergiljusz spowitych w ten sam płomień Ulissa i Diomeda, którzy goreją wspólnie za wspólną winę zdobycia podstępem Troi. Dante rwie się ku tym dostojnym cieniem i jużby rad do nich przemówić, kiedy Wergiljusz nakazuje mu milczenie. Bo — mówi — cienie te »to Grecy, więc przyjąć gotowiby dumnie i pogardliwie twoje odezwanie«. Sam tedy zwraca się do Ulissesa, przypominając kornie, jak o nim niegdyś w *Eneidzie* wiersze składał. I natychmiast, jakby za podmuchem wiatru, wyższy róg płomienia poczyna drgać, a w syku ognia słychać głos Ulissa, który wędrującym poetom opowiada swój zgon na morzu, kiedy gnany wieczną ciekawością opuścił znów rodzinną Itakę i przepłynął za ostatnią podróżą naznaczone wyrokami bogów jako kres dla żeglarzy kolumny Herkulesa.

Parla tu, questi è latino — »teraz mów ty, bo to Latyn« — mówi Wergiljusz do Dantego, gdy po skończeniu tego epilogu *Odyssei* i zniknięciu Ulissa inny żarzący się słup z kolei przed nimi staje. Ten nowy upiór, to Gwido di Montefeltro, za życia

pan na Urbinie. Jak tylu innych potępieńców pośród wędrówki Dantego, tak i on prosi tęsknie o wieści »ze słodkiej ziemi łatyńskiej« *di quella dolce terra latina*, którą niedawno porzucił; więc Dante czyni jego prośbie zadość, kreśląc obraz Romanji, jeden z tych obrazów, w jakich tak namiętnie smaga zawsze i chłoczszcze współczesnych tyranów włoskich, rozszarpujących pomiedzy sobą żywe ciało Italji. A ustęp ten rozpoczyna od wspomnienia Rawenny, która »stoi jako stała przez lata« — *Ravenna sta come stata è molt' anni...*

Ravenna sta come stata è molt' anni — ten wiersz brzmiał mi zawsze w uszach, ilekroć w ciągu podróży włoskich zbaczalem do cichej Rawenny. Nigdzie bowiem we Włoszech nie odnosi się wrażenia tak dalekiej, takiej zamierzchłej przeszłości. Starsze o tyle gruzy na Palatynie lub na forum rzymskim, ruiny Kolizeum i grobowce Cezarów odmładzają się łatwo we wyobraźni; wśród nich czuje się człowiek bądź co bądź bliskim tego pnia, z którego całe bujne drzewo dzisiejszej naszej kultury wyrosło. Tysiące węzłów łączy nas z ludźmi, którzy tamtędy przeszli, z pism znany ich myśli, z instytucyj ducha, a z zachowanych rzeźb często nawet kształt ich zewnętrzny i rysy. Inaczej w Rawennie. Tu roztacza się przed nami jakiś świat nawpół tajemniczy, jakby bezpotemnie zamarli. Wiek piąty i połowa szóstego, to ta niby mgłą osnuta, krótka tego świata doba, po której tak skąpo zostało dostępnych pism, pamiątek i podań. Toteż jak obcego, jak człowieka z innych pokoleń, witają owe hieratyczne postacie z mozajk rawennackich przechodnia i patrzą na niego szeroko, jakby zdziwieniem rozwartemi oczyma. A i jemu wzamian niełatwo zajrzeć przez te kamienne oczy aż do wnętrza i głębi ich duszy.

Wokoło smutna, płaska kraina zniża się na wschód ku lagunom Adrjatyku i ku ujściom Padu — *dove il Po discende*, — a co kilka staj przerywa ją jasna wstęga jednego z licznych kanałów, które biegną ku morzu, osuszając po drodze te zielone mokradła. Drzew mało, odkąd opiewany przez Dantego las sosnowy, słynna Pineta, z końcem przeszłego wieku od mrozów i pożarów doszczętnie prawie zniszczał. Błądzący więc na wszyst-

kie strony wzrok nie ma się na czym zatrzymać i spocząć, chyba na jakiej dalekiej wieży, która sterczy samotnie na równinie, lub chyli się nad głęboko pod nią w muł zapadłą, prastarą bazyliką chrześcijańską. Odmienny to zupełnie krajobraz od innych krajobrazów włoskich. Nie znajdzie w nim świetności wybrzeży neapolitańskich, ani majestatu Kampanji rzymskiej, brak mu blasku opartych o podnóża alpejskie złotych łąk Lombardji, uśmiechu wesołych wzgórz tokańskich, lub pogodnego zacisza umbryjskich dolin. Okolice Rawenny, z jej dalekim, pustym widnokregiem, to dziedzina nieznanego reszcie Włoch melancholji: rzekłbyś, że ci przybysze z poza Alp, którzy w tych granicach pierwsze niegdyś wśród gruzów rzymskiego imperjum na włoskiej ziemi zakładali państwo, przynieśli ze sobą i zostawili tu i coś ze smutku północy.

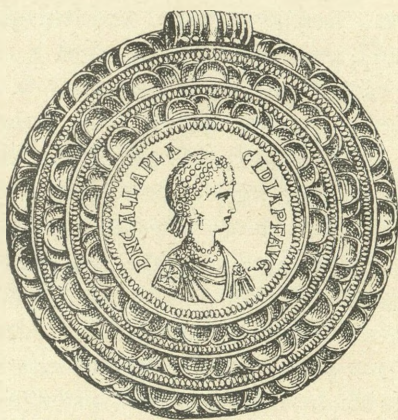
I miasto samo podobną nosi cechę. Spokojniejsze ono i cichsze od innych prowincjonalnych miasteczek włoskich, gdzie zgiełk bieżącego życia tak dziwnym nieraz odbija echem od pamiątek przeszłości. Ulice ciasne, domy niskie, a brak owych dumnych siedzib patrycjatu, którymi epoka Odrodzenia szczerze wyposażała inne komuny włoskie. Tu i ówdzie bieleje marmurowa fasada kościelna z XVII stulecia, jedna z tych, jakimi kontrreformacyjny okres ujednostajniał zewnętrzny wygląd różnowiecznych świątyń, a w środku miasta niepozorny zresztą rynek, dawne *forum senatorium*, zdobi jedynie dźwigająca dziś posągi patronów rawennackich, św. Apollinarego i Witalisa, para granitowych kolumn. Taką dumną pieczęcią znaczyła wszędzie Signoria wenecka liczne swe posiadłości; więc w XV wieku, w czasie kilkudziesięcioletniego jej panowania nad Rawenną, stał i tu na jednej z obu kolumn lew św. Marka, strzegąc tych południowych dzierżaw Rzeczypospolitej.

Tę szarą naogół powszedniość przerywa, jakby perłami nianizanymi wśród pospolitszych paciorków różańca, szereg kościołów z V i VI wieku, które nadają Rawennie istotne jej znamię, znamię pełne osobliwego czaru. Mauzoleum Galli Placydji, baptisterium zwane S. Giovanni in Fonte i drugie, niegdyś arjańskie, kaplica w pałacu arcybiskupim, bazylika S. Apollinare Nuovo i inną, poświęconą temu samemu uczniowi św. Piotra i apostołowi Ra-

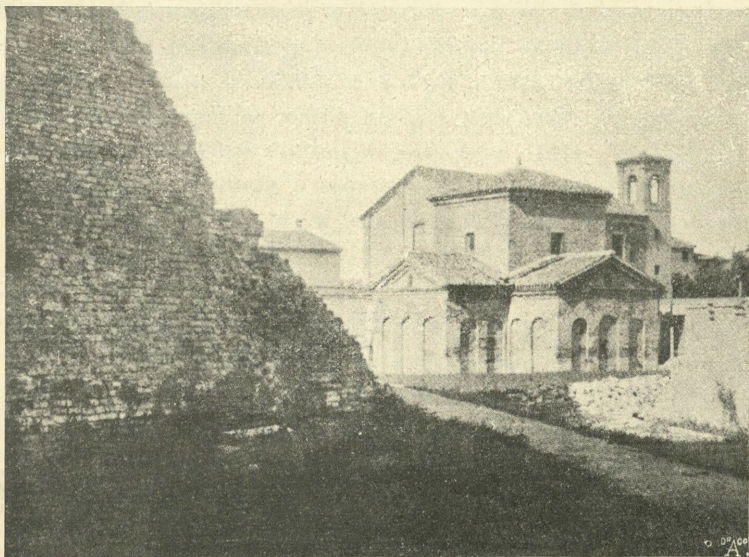
wenny, S. Apollinare in Classe, mauzoleum Teodoryka, dziś przemienione na kaplicę S. Maria della Rotonda, wreszcie ośmiokątny kościół S. Vitale, pierwszy poza rodzimem Bizancjum bizantyński pomnik architektury młodej naówczas stolicy z nad Bosforu — to tyleż, niby cudem zachowanych, relikwiarzy wczesnej sztuki chrześcijańskiej, wytykającej jej rozwojowi na lata i wieki stąd, z tej Rawenny, dalszy kierunek i drogi.

Wnętrza tych, na zewnątrz nieokazałych, wiekiem nachylonych i posępnych w swej wyszarzałej powłoce świątyń zdobia mieniące się tysiącem barw mozaiki, które tem bardziej olśniewają widza, że staje on wśród nich nie przygotowany na tyle blasku, z oczyma przyćmionemi jeszcze mrokiem zaułków bezbarwnego zresztą miasta. Wszystkie trzy okresy krótkotrwałej świetności Rawenny wyryły na tych murach odrębne swoje piętno. Najstarsze dwie budowle z pierwszej połowy V wieku, a więc z czasów, kiedy Honorjusz przeniósł do Rawenny rezydencję cesarską, to S. Giovanni in Fonte, chrzcielnica wzniesiona podobno na gruzach starych termów, i grobowiec, który postawiła dla siebie i swoich córka wielkiego Teodozjusza, Galla Placydja. Ozdoby ich mozaikowe stanowią łącznik rodzącej się sztuki chrześcijańskiej ze sztuką starożytną. Tradycja rzymska odzywa się zarówno w typach pojedynczych postaci, jak w szlachetnych fałdach ich sukien, wzorowanych na rzeźbie, i we wstęgach z liści, owoców i kwiatów, które biegną wzdłuż ścian, wiążąc się w sploty i wieńce. Wszędzie zaś przebija pociąg do symbolizmu, a raczej do dwóch symbolizmów, pogańskiego i chrześcijańskiego, które tu sąsiadują jeszcze i mieszają się nieraz z sobą. Bo owe pary gołąbków, które piją z jednego kielicha, lub jeleni, skubiących razem trawę, w mauzoleum Galli należą do pogodnych symbolów Eucharystji, jakie mistrze kamiennych dekoracyj z kościołów rawennackich zaczerpnąć musieli u pierwotnego źródła sztuki chrześcijańskiej, w katakumbach; kiedy natomiast pasący owce na przeciwległej ścianie, młodzieńczy i bezbrody Chrystus wnosi w nową ludzom tej epoki opowieść ewangeliczną o dobrym pasterzu swojski im jeszcze typ Orfeusza czy Apollina. Zresztą i cele obu tych pomników z pierwszego okresu symbolizują bez-

Biblioteka Okręgowego Koła
Towarzystwa Wiedzy Wojskowej
w Krakowie



MEDAL GALLI PLACYDJI



MAUZOLEUM GALLI PLACYDJI

wiednie same przez się tego okresu treść: grobowiec i chrzcielnica, — koniec rzymskiego imperjum, które wyrwane z Rzymu przybyło wówczas z bratem Galli, cesarzem Honorjuszem, konać w Rawennie i tu w lazurach zmrokach tego cudnego mauzoleum usnęło na wieki, oraz dalszy po tym zgonie pochód świata, odrodzonego wodą chrztu w chrześcijaństwie.

Ten sam wiek piąty nie dobiega jeszcze kresu, kiedy nowy przewrót rozstrzyga o dalszych losach Rawenny. Obcy przybysz z północy, najemnik na żołdzie rzymskim, zrzuca Romulusa Augustulusa z tronu i za tym zamachem rozpada się w proch cesarstwo zachodnie, a po kilkunastoletniej walce napływających wciąż barbarzyńców pomiędzy sobą zakłada najdzielniejszy z nich Teodoryk, państwo Ostrogotów we Włoszech. Za stolicę obiera sobie Weronę (skąd miano Dietricha z Bernu, pod którym wchodzi do sagi niemieckiej), a na przemiany z Weroną — obroną, bo strzeżoną z jednej strony przez szereg bagien, z drugiej przez Adrjatyk, Rawennę. I znowu zachował nam się odblask świetności tych lat w mozaikach, które zdobią ściany wzniesionej przez tego pierwszego północnego króla Italji nadwornej bazyliki arjańskiej, zwanej zrazu S. Martino in Ciel d'oro, później S. Apollinare Nuovo. Mozaiki te różnią się już pod wielu względami od wcześniejszych z battisterium i z grobowca Galli. Tradycja klasyczna zanika, sztywnieją i zaostrzają się linje, zaciera się coraz bardziej indywidualizm, a w miejsce dotychczasowego symbolizmu wstępuje historia.

Wzrok wchodzącego do tej świątyni przykuwają przede wszystkim dwie hieratyczne procesje, które rozwijają się na ścianach wzdłuż głównej nawy, ponad dźwigany przez rząd starożytnych kolumn architravem. Po prawej stronie sunie ku postaci Zbawiciela jakby korowód dwudziestu czterech biało przybranych męczenników, ze znamieniem ich chwały, z koronami męczeńskimi w ręku. Naprzeciwko tyleż świętych dziewic, w kwiecistych, złotem przetykanych strojach, niesie wieńce do stóp Najświętszej Panny. Te wydłużone postacie, więcej niż naturalnej wielkości, różnią się tak mało pomiędzy sobą, iż zrazu ma się wrażenie wielokrotnego odbicia jednej i tej samej figury,

póki oko nie dostrzeże drobnych zmian bądź w sfałdowaniu sukien, bądź w wyszytych na nich haftach. Ale właśnie ta nieubłagana jednostajność obu mistycznych procesyj upaja wpatrującego się w nie dłużej i kołysze go jakby rytmem zaklętej w kamień litanji.

Za czasów Teodoryka zdobył podobno te ściany inny cykl mozaik. Może jednak tchnęły one nazbyt duchem arjańskim, może były apoteozą heretyckiego króla, którego Kościół potępił za gwałty z ostatnich lat świetnych jego przedtem rządów, za stracenie Boecjusza i młodszego Symmachusa i za umorzenie głodem papieża Jana. Dość, że w kilkadziesiąt lat po jego zgonie, a po odebraniu przez arcybiskupów rawennackich Arjanom ich zborów — *quae Ariana perfidia et crudelitate tenebantur*, — »w których rządziły przewrotność i okrucieństwo arjańskie«, — jak mówi stary kronikarz Agnellus, zniszczono w S. Apollinare Nuovo te mozaiki Teodorykowe i zastąpiono je owym rzędem świętych męczenników i dziewic.

Natomiast wyższe pole mozaik powstało jeszcze niezawodnie za życia Teodoryka. Mozaiki te otwierają inną zupełnie epokę i są już przez to samo ciekawym nad wyraz pomnikiem ikonografji chrześcijańskiej. W szeregu obrazów przesuwają się tam epizody z nauczycielskiego zawodu Zbawiciela, a naprzeciwno — z przebiegu jego passji. Próby to jeszcze nieudolne: w każdym rysie znać, jak ci anonimowi artyści, idąc wiernie za literą Pisma, z nieśmiałością i jakby poomacku szukają wyrazu na oddanie myśli i uczuć, które się po raz pierwszy odzwierciedlić miały w sztuce. Ale ta wczesna obrazowa egzegeza ewangelji na większą skalę ustala już kanon sztuki chrześcijańskiej na szereg wieków. Bo stworzone tu typy odtwarzać się będą długo prawie nieodmienne i te wśród wędrówek narodów za mroźnym podmuchem z północy zeszywniały i jakby zamarzłe postacie dotrważą w tym śnie aż do wspaniałej wiosny XIII wieku, wiosny św. Franciszka z Assyżu, w której Giotto i jego uczniowie zbudzą je z lodowatego letargu i tchną w nie nowy ruch i nowe życie.

Gruzy w pobliżu kościoła S. Apollinare, nazywane dziś ruinami pałacu Teodoryka, pochodzą z późniejszych czasów. Poza

miastem, w opustoszałej i krzewiną porosłej dzielnicy, wznosi się przecież jeszcze jedna, ostatnia po Teodoryku pamiątka, mauzoleum, które sam sobie za życia zbudował. Znać w owej budowie chęć tego wielkiego parwenjusza z północy, chowanego zamłodu w Bizancjum, a rozmiłowanego przez całe życie w kulturze rzymskiej, zrównania się i po śmierci z rzymskimi Cezarami, których grobowce na wzór dla własnego wybrał. Dwupiętrową, wspartą na dziesięciokątnym podmurowaniu, wyżej w krąg przechodzącą rotundę — skąd jej późniejsze miano S. Maria della Rotonda — zamyka u góry, pęknięty dziś w pośrodku, potężny, bo dziesięć tysięcy centnarów pono ważący monolit z istrjańskiego kamienia. Stare podanie mówi, że królowi przepowiadali wróżbici śmierć od pioruna, że więc zwykł był przy nadciągającej burzy uciekać do mauzoleum i kryć się pod tym ochronnym głazem; lecz i tam miał dosięgnąć heretyka gniew Boży: piorun uderzył, głaz pękł na dwoje i król zgorzał w ogniu niebieskim. Tyle legenda. Ale patrzącemu dziś na ten ponury pomnik wczesnego północnego najeźdźcy Włoch nasuwa się myśl ile to razy odtąd w ciągu wieków próbowali przybysze z poza Alp zawiadnąć za jego przykładem, choć pod innym hasłem, ziemią włoską, jak odchylali kolejno i Karolingowie i Ottony, i Hohenstaufy i Habsburgi ów głaz olbrzymi, sięgając po śpiącą pod nim ideę zdobywcą Teodoryka, i jak po każdym podboju głaz opadał zawsze napowrót i przygniatał ją znowu w grobowcu.

I znów następuje zmiana we wizjach rawennackich. W r. 526 umiera Teodoryk, a równocześnie niemal wstaje nowa wielka postać na Wschodzie: rozpoczyna się nad Bosforem panowanie Justynjana i diadem cesarski promienieje przez dłuższy okres dawnym blaskiem, sięgającym daleko na zachód. Wodzowie Justynjanowi, Belizarjusz i Narses, ruszają na odbicie appenińskiego półwyspu, zdobywają kolejno Rzym, zdobywają Rawennę, zdobywają wreszcie całe Włochy i Belizarjusz prowadzi wziętego w niewolę króla Ostrogotów, Witigesę, w triumfie do Konstantynopola. Ale Goci nie składają broni i walki toczą się jeszcze przez lat kilkanaście, aż nakoniec Narses zadaje dziełu Teodo-

rykowemu cios śmiertelny: giną ostatni następcy Teodoryka, Totila pod Taginae, Teja w pobliżu Wezuwjusza, i w połowie VI wieku ściele Narses to, co pozostało z zachodniego imperjum, jako przyszły exarchat ze stolicą w Rawennie, pod stopy triumfującego Justynjana.

W Rawennie znaczy się to zwycięstwo Wschodu »pięknym niby sen wschodni«, jak go słusznie nazwano, kościołem S. Vitale. Budowę tej świątyni, wzniesionej na miejscu męczeństwa św. Witalisa, rozpoczęli arcybiskupi rawennacy może jeszcze u schyłku panowania Gotów. Dwór Teodoryka utrzymywał bowiem bliskie stosunki polityczne i handlowe z dworem konstantynopolitańskim i ze Wschodem, tak, że jak później Wenecja, zapożyczała i Rawenna wcześniej już styl i rodzaj wschodni. Ale dekoracje wnętrza pochodzą dopiero z czasów panowania Justynjana nad Rawenną i za jego rządów dokonano poświęcenia kościoła. Obie więc świątynie, S. Vitale w Rawennie i młodszą nieco Św. Zofję w Konstantynopolu za bliźnią parę duchowych dzieci wielkiego cesarza poczytać można, a i w rawennackiej jego świątyni znać tę, tylko architekturze wschodniej właściwą, skłonność do labiryntowych skrętów kolumn i arkad, załamanych w szeregi prospektów, do gry światła i cieniów, stwarzających nastroj raczej marzycielski niż uroczysty, a tak zupełnie różny od nastroju wywołanego ścisłą jak dogmat bazylikową architekturą rzymską. Jedno z zagłębień po stronie wschodniej wydłuża się w absydę, z której ścian i stropów istny zdroj barw rozlewa się na cały kościół.

*Si vid'io ben più di mille splendori
Trarsi ver noi.*

Taką ujrzałem ja przemoc świetlaną,
Płynącą ku nam.

mówi w V pieśni »Raju« Dante, kiedy w sferze Merkurego z tłumu promiennych dusz występuje i zbliża się ku niemu Justynjan. Z takim też splendorem występuje on dziś z mozaik zdobiących absydę kościoła S. Vitale i staje przed oczyma widza. Cała dekoracja wokół różnolitością barw i subtelnem ich

dostrojeniem przypomina wschodnie kobierce. Po sklepieniu widać się girlandy z kwiatów i owoców; na łuku triumfalnym widnieją medaljony apostołów i ewangelistów, a po obu stronach ołtarza kilka większych kompozycji: Chrystus młodociany i bezbrody, siedzący w glorii aniołów i świętych na kuli ziemskiej; potem ofiara Abła, ofiara Abrahama, ofiara Melchizedecha; sceny z życia wielkiego prawodawcy Izraela, Mojżesza, — temat wybrany może w pochlebnym hołdzie dla współczesnego kodyfikatora, Justynjana; — wreszcie za ołtarzem, on sam, Justynjan, otoczony dworem, a naprzeciwko z niewieścią swiątą małżonka jego, cesarzowa Teodora.

Obie mozaiki przedstawiają pochody do świątyni. Przed cesarzem, o krok naprzód, postępuje arcybiskup Maximianus, ten, który w r. 547 dokonał poświęcenia nowo wzniesionego kościoła S. Vitale. W rękę trzyma krzyż, a towarzyszą mu kapłani, z których jeden niesie kosztownie oprawną księgę, drugi kadzielnicę. Środek obrazu wypełnia postać Justynjana. Cesarz, z diademem zdobnym w perły i drogie kamienie i w purpurowym płaszczu spiętym u ramienia bogatą agrafą, trzyma w rękach złotą misę: to ofiara, którą złoży w kościele, może alegoryczne stwierdzenie na wieczną pamiątkę, że kościół ten jego stanął sumptem. Dostojnicy dworscy otaczają go w pochodzie, który od lewej strony zamyka zbrojny zastęp przybocznej gwardji cesarskiej, tej nieodstępnej żywej tarczy Cezarów.

Jeżeli w tym obrazie przeważają tony jasne i białe od sukien kapłanów i dworzan, to wszystkie kolory tęczy płoną na przeciwległej ścianie, gdzie rozwija się pochód Teodory i jej orszaku. Różnobarwne stroje pań, dzierzgane złotem, ich diademy, naszyjniki i obrączki tworzą migotliwe tło, ponad które wyrasta postać cesarzowej. Głowę jej, otoczoną aureolą, wieńczy ciężki diadem wschodniej bazyliissy, z którego olbrzymie perły spływają strugą na szyję, ramiona i piersi. W rękach o cienkich, wydłużonych palcach trzyma złotą czarę, wysadzaną turkusami, i wyciąga je ku drzwiom kościoła, gdzie dar swój złoży w ofierze. Jakiś dziwny, surowy majestat bije z tej podłużnej twarzy, z tych dumnych oczu i wyniosłej postaci i góruje ponad całym

pochodem, jakby na wytłumaczenie dziwniejszego jeszcze pochodu życiowego tej kobiety, wyrosłej wśród szumowin cyrkowych w Bizancjum, wyrwanej stamtąd i wyniesionej przez Justynjana na najwyższy tron świata i dochodzącej aż tu, do apoteozy za życia na ścianach świątyni.

Wyobraźnia zaś chętnie wyjmuje te strojne postacie z ich kamiennych ram, zapełnia nimi kościół i odtwarza sobie widok, jaki przedstawiać się musiał, kiedy te barwne szaty, te klejnoty, sznury pereł i złotogłowa połyskiwały w zagłębieniach górnej niewieściej galerji, a dołem bielily się alby kapłanów, płaszcze dostojników, lub lśniły zbroje gwardji; kiedy wśród cieni kolumn i filarów przesuwaly się po ludziach i mozajkowych ścianach te właściwe architekturze wschodniej, tajemniczo i niespodzianie wpadające do wnętrza smugi światła, i kiedy wśród dymu kadzidel, bijących ze złotych i srebrnych trybularzy pod strop, roztaczała się w ramach tej cudnej świątyni nieporównana pompa ceremonij bizantyńskich.

Jeszcze drugi pomnik z owej epoki zachował się, aż po dziś dzień prawie nietknięty, w Rawennie. O godzinę drogi od miasta leżał założony przez cesarza Augusta wojenny port rawennacki, zwany Classis. Tak blisko bowiem murów Rawenny były naówczas fale Adrjatyku, aż naniesione przez ujścia Padu piaski stężyły i odepchnęły je o jaką milę na wschód. Długa ulica łączyła Rawennę z portem w Classis, w którym już za pierwszych lat cesarstwa mieścić się mogło przeszło dwieście okrętów; a ten łącznik rozrósł się wnet w zabudowane przedmieście, które otrzymało nawet osobną nazwę Caesarea. Dziś wszystko to znikło bez śladu: z Caesarei nie pozostało ani kamienia, tam gdzie błękitniało morze ciągną się zielone pola ryżowe, a z Classis, z jej tyberjuszowskich murów obronnych, z jej portyków, zbrojowni i świątyni, zachował się tylko jeden kościół, prawda że starczący za wiele: bazylika zwana S. Apollinare in Classe. Stawiał ją za rządów Justynjana ten sam podskarbi arcybiskupi, Julianus Argentarius, który zbudował kościół S. Vitale w Rawennie, a już same rozmiary świątyni świadczą o wielkości i znaczeniu, jakie mieć musiało naówczas to portowe

miasto. Po spaleniu się na początku przeszłego wieku pierwotnego kościoła św. Pawła w Rzymie, jest to chyba największa i najpiękniejsza ze zachowanych nam starochrześcijańskich bazylik.

Dwadzieścia cztery kolumn greckich dźwiga środkową nawę, a w głębi szerokie schody wiodą przez łuk triumfalny na wzniesienie, gdzie pod półkolistem sklepieniem absydy stoi ołtarz. Absydę wypełniają mozaiki, które odbijają silnie od niepokalanej białości naw i zdają się wydłużać jeszcze za biegnącym ku nim wzrokiem jasne i słoneczne przestrzenie kościoła. W górze błyszczą symboliczny obraz Przemienienia Pańskiego: po obu stronach olbrzymiego krzyża, rozpiętego na gwieździstym tle, nadpływają w obłokach Mojżesz i Eljasz. Spodem rozciąga się apoteoza patrona i apostoła Rawenny: na kwiecistej łące, wśród rzędu owiec, tworzących jakby biały rąbek na łączniku ścian ze sklepieniem, stoi św. Apollinary w szacie kapłańskiej, z palljuszem arcybiskupim na piersiach; obie ręce wzniosł w górę, do stóp krzyża z alegorii Przemienienia, obejmując w szerokim błogosławieństwie cały kościół, który postacią swoją wypełnia i nad którym panuje. Opowiadają *Acta Sanctorum*, jak w X wieku klęczał tu jednej nocy młody patrycjusz rawennacki, który się schronił w klasztorze klaszeńskim, aby w nim odbyć dobrowolną pokutę za zabójstwo popełnione przez ojca. »A około piania kurów — mówi wedle tych Aktów Skarga — ujrzał, że św. Apollinary z ołtarza wielkiego wychodzi, a jasność wszystkich kościołów nappełniła, i mając złotą kadzielnicę, w biskupim stroju obchodził i kadził wszystkie ołtarze i na onoż miejsce, skąd był wyszedł, wrócił się i zniknął«. Widzenie to rozstrzygnęło o losach młodzieńca, który w Classis przywdział suknię zakonną, a po długich wędrówkach misyjnych cofnął się w górskie zacisze pod Arezzo, do miejscowości zwanej pierwotnie Campus Maldoli, potem w skróceniu ludowem Camaldoli, gdzie zgromadził wokół siebie na wspólny surowy żywot grono pobożnych pustelników. Młodzieńcem tym był św. Romuald, a pustelnicze grono z Camaldoli było zawiązkiem zakonu Kamedułów, którzy stąd wzięli swoją nazwę, a mieli spełnić we Włoszech podobne zadanie reformy

monachizmu, jakiego dokonywało równocześnie słynne opactwo kluniaceńskie we Francji.

Zresztą ogromna ta bazylika św. Apollinarego jest pusta i poza mozaikami w absydzie brak jej innych ozdób, bo drogie marmury, które pokrywały niegdyś ściany naw bocznych, porwał i uwiózł w XV wieku do sąsiedniego Rimini zuchwały Sismondo Malatesta, by ich tam użyć do budowy słynnego *Tempio Malatestiano*, kościoła pod wezwaniem św. Franciszka, a raczej świątyni grobowej, którą zbudował na cześć i pamiątkę pięknej swej kochanki, wkońcu małżonki, Izotty. Dziś jedynie dwa rzędy białych sarkofagów zapelniają ogołoconą ze wszystkiego bazylikę klaszeńską, a błogosławiący z górnej mozaiki św. Apollinary wygląda na stróża grobów i błogosławi jakby na śmierć, nie na życie.

Samotnie, jak latarnia morska, lecz na pustkowiu, z którego nawet już i morze pierzchło, stoi więc ten ostatni pomnik świętności rawennackiej, a wśród ciszy, zalegającej dokoła, jakby głosem wołającego na puszczy najwymowniej może z wszystkich pomników Rawenny opowiada rzadkim przechodniom, co widział i zajrzał wśród długich zmroków średniowiecza.

Opowieść to smutna, rozpoczynająca się od nowego najazdu obcego szczepu na Włochy. Cesarzowa Zofja odwołuje zwycięskiego Narsesa z Rzymu i Rawenny, a dodaje z urąganiem, że ma schować miecz do pochwy i zasiąść przy wrzeczionach. Stary rzezaniec składa władzę, ale obrażony każe cesarzowej powiedzieć, iż jej z kądzieli taką nic uprzedzie, jakiej ona przez żywot cały rozplątać nie zdoła, i przez zemstę sprowadza Longobardów na Włochy. W r. 568 rusza ich król Alboin z Pannonji, przekracza Alpy, i rozgrywa się ostatni akt wędrówek narodów, podbicie i rozbicie Włoch na pojedyncze longobardzkie księstwa: Pawji, Spoletu, Benewentu i inne. Bizancjum, niezdolne bronić swych posiadłości zachodnich, patrzy obojętnie, jak exarchat kruszy się w kawały. Tylko w Rawennie i na południu w Kalabrii trzymają się jeszcze ostatnie twierdze cesarstwa wschodniego. W Rzymie natomiast, gdzie wzrasta powoli nowa potęga, najsilniejsza, bo na duchowych podwalinach

oparta potęga papieży, pozorną już prawie tylko exarcha rawenna-cki przez zastępców wykonywa władzę. Dla Rawenny, jak zresztą dla całych Włoch, zaczyna się długa epoka martwoty. Bo wielkie przewroty polityczne i społeczne, choćby nawet skierowane w imię słusznego hasła przeciw znieprawionym tworum, jakim było naówczas niezawodnie imperjum rzymskie, burzą zrazu zawsze bez rozróżnienia i litości kulturę i tradycję, to wszystko właśnie, co na szarą doczesność rzuca jakiś promyk słońca.

Że ten promyk wśród zmierzchu starożytego świata nie zagaśł zupełnie, to stanowi niespożyta zasługę Kościoła, który tępiąc pogaństwo, umiał przecież ze starożytnej cywilizacji ratować to, co w niej było dodatniego i szlachetnego, — czy kiedy wcielał zasady prawa rzymskiego w prawo kanoniczne, czy gdy w pismach Ojców snuł wiernie nic literacką wielkich autorów starożytnych, Wergiljusza, Cyncerona lub Seneki, czy kiedy w klasztorach strzegł i przechowywał tych autorów dzieła, aby je, prawdziwie jako *lampada vitae*, jako »kaganki życia«, przekazać potomnym. *Quid amamus nos nisi pulchrum?* — »cóż będziem kochać, jeżeli nie piękno?« — wołał już w IV wieku w swej płomiennej wymowie św. Augustyn, a w okrzyku tym streszczał całe wzniosłe posłannictwo cywilizacyjne Kościoła wobec spuścizny starożytności, którą zalewały fale wędrujących narodów.

W Rawennie trwają rządy exarchów prawie przez dwa stulecia, a znaczą je wznawiane wciąż bunty nieszczęśliwych mieszkańców tych ziem, wyzyskiwanych krwawo przez Greków, bunty, na które odpowiadały coraz sroższe kary i zemsty ze strony exarchów: sromotne karty dziejów, jakoby odbicie historii samego Bizancjum, gdzie wyrabiał się złowrogi dla świata typ najgorszego z rządów, złożony z despotyzmu wschodniego i przewrotności greckiej, z ucisku i przekupstwa, z bezpłodnej sity i zaraźliwego zepsucia. Słusznie powtarzał papież Grzegorz Wielki, że złość urzędników bizantyńskich nie mniejszą była dla ludów plagą od miecza barbarzyńskich Longobardów. Biorąc zaś w opiekę appeniński półwysep przed bezprawiem pierwszych a gwałtami drugich, wyrabiali sobie papieże przodownictwo wśród zrastają-

cej się w tej wspólnej obronie narodowości włoskiej. W zasadzie jednak uznawali papieża związek Zachodu ze Wschodem. Wizerunek cesarza na ścianach Lateranu był niejako symbolem trwałości władzy cesarskiej na Zachodzie, a wybór każdorazowego papieża potwierdzonym być musiał przez rawennackiego exarchę. Tylko stosunek ten rozluźniał się w ciągu VII wieku coraz bardziej, kiedy rządy exarchów w Rawennie zamieniały się w bezrząd wśród rebelij i mordów spełnianych na urzędnikach cesarskich przez uciskaną ludność, a tłumienia takich buntów przez exarchów w morzu krwi. W r. 692 ruszyli Rawennaci nawet na Rzym, aby wspólnie z Rzymianami wygnąć zastępcę exarchy z miasta, srogim zaś za to odwetem było w kilka lat później stracenie na ruszłowaniu najznakomitszych obywateli rawennackich; jednych, jak uczonego poetę Joannicjusza, zamurowano żywcem; innym, a pomiędzy nimi arcybiskupowi Feliksowi, wylupiono oczy. Z drugiej strony cesarzowie bizantyńscy, wbrew kilkusetletniemu już istnieniu i rozwojowi chrześcijaństwa, nie chcieli zerwać z przeżyłą tradycją pogańską łączenia imperjum z pontyfikatem, a przynajmniej z atrybucjami pontyfikatu. *Imperator sum et sacerdos* — cesarzem jestem i kapłanem — wołał jeden z nich w ciągu VII wieku w liście do papieża, określając w ten sposób gołosłownie naturę cezaro-papizmu. Stąd też mieszanie się nieustanne cesarzy w spory o dogmaty, spory, w które tak obfitowały te nawskróś teologiczne wieki; stąd wszczepianie w najszersze warstwy ludności zamięłowania do teologicznych dociekań i tłumaczeń, które aż do dnia dzisiejszego pozostało rysem znamionym spadkobierczych wschodniego cesarstwa ludów. To roznamiętnienie teologiczne wymownie piętnował już w IV wieku św. Grzegorz z Nazjanzu, gdy pisał: »Poproś kogo, aby ci zmienił pieniądz, a usłyszysz, czym Bóg Ojciec różni się od Syna; spytaj drugiego, co chleb kosztuje, odpowie ci, że Syn niższy jest od Ojca; zapytaj innego, czy kąpiel nagotowana, odrzeknie ci, że Syn z niczego stworzony został«. Ale stąd też płynęły te ustawiczne starcia z Rzymem, gdzie papież warował sobie coraz silniej autorytet w rzeczach wiary. Te starcia

właśnie przyspieszyły zawalenie się exarchatu i jego siły pozornej.

Stało się to w połowie VII wieku. Cesarz Leon III Izauryjski wszczął pod wpływem Judaizmu i Islamu ruch obrazoburczy. Wystąpił z twierdzeniem, że cześć oddawana obrazom świętym jest bałwochwalstwem, i rozkazał usuwać je i niszczyć. Zacięte walki zawrzały pomiędzy ikonoklastami a ludem, przywiązany do swych nabożeństwem uświęconych pamiątek. Wschód uległ woli cesarskiej. Zachód się oparł, ale kosztem powszechnego zamętu, który ten ruch wywołał. Jakby cudem w samej stolicy exarchów, w Rawennie, skąd wychodziły na zachód rozkazy cesarskie, ocalały cudne ozdoby jej świątyń. Może chronił je majestat wizerunków cesarskich, apoteoza Justynjana i Teodory na ścianie kościoła S. Vitale, popiersia Justynjanowego w bazylice Teodoryka; może zresztą i tu, jak w tylu innych miejscach, lud obronił swe skarby. Ale ileż dzieł sztuki zginąć musiało wówczas bezpowrotnie, jak ich ginęło zawsze tyle, ilekroć władza świecka wtargnęła do kościołów! Bo walka trwała długo i tak pogłębiła przepaść pomiędzy Zachodem a Wschodem, że czyhający od dwóch wieków na dogodną chwilę Longobardowie tę wybrali właśnie, aby exarchatowi zadać cios śmiertelny. W r. 751 zdobył król ich, Astolf, Rawennę, wygnał z niej exarchę Eutychiusa, zburzył doszczętnie port w Classis i przeciął w ten sposób ostatnią nić, wiążącą Włochy z Bizancjum. Był to zarazem i koniec tradycji Augustowskiej, którą Justynjan, choć sztucznie, stworzeniem exarchatu utrzymał. Teraz dopiero zniknął na Zachodzie ślad jej zupełnie.

Po półczwartawiekowym okresie straciła i Rawenna stołeczne swe znaczenie, przestała tworzyć łącznik pomiędzy Zachodem a Wschodem. Odtąd rzadziej pojawia się jej nazwisko na pożółkłych kartach kronik, bieg rozstrzygających dziejów gdzieindziej sobie żłobi tory, a historia rawennacka zachodzi w coraz to gęstsza mgłę. Tylko niekiedy, gdy wśród burz średniowiecznych silniejszy wichur zerwie się z północy i powieje przez Alpy, rozsuwa się ta mgła przelotnie i odsłania Rawennę, która »stoi, jako stała przez lata«, a na tle starych jej świątyń



ukazuje się na chwilę jedna lub druga ze spiżowych postaci nowych imperatorów zachodnich: Karola Wielkiego, albo któregoś z Ottonów, Henryka IV, lub Barbarossy.

Panowanie Longobardów w Rawennie trwało bowiem zaledwie lat kilka, ale zburzenie exarchatu zdecydowało o losach świata. Bo gdy Astolf z tych bliższych teraz granic coraz dalej i aż po sam Rzym jął zapuszczać zagony, zwrócili się papieże o pomoc do Franków i do świeżej tego szczepu dynastji, do Karolingów. Pod wodzą tychże rozpoczynają się *gesta Dei per Francos*, zmieniające kształt ziem i ustrój narodów. Po raz pierwszy rusza jeden z następców Piotrowych poza Alpy: papież Stefan II namaszcza w r. 754, w opactwie St. Denis pod Paryżem, Pipina, jego małżonkę Bertradę i syna ich Karola, a wzamian ciągną Karolingowie na południe, na pogrom Longobardów. O odebrane Longobardom zdobycze, o exarchat i Pentapolis, dopominają się natychmiast postowie wschodniego cesarza z Bizancjum, ale zwycięski Pipin odpowiada, że nie dla ziemskiej służby po dwakroć przekraczał Alpy, więc że to, co z łupów longobardzkich odbił, tylko u stóp Św. Piotra złoży. Z ramienia królewskiego rusza opat z St. Denis do Rzymu i składa tam klucze Rawenny i innych miast exarchatu, wydartych Longobardom, na grobie Apostoła.

Od tej chwili, od donacji Pipina, tworzy Rawenna przez wieki, z przerwą jedynie kilkudziesięcioletniego panowania nad nią w XV stuleciu Wenecjan, składową część papieskiego państwa. Ambicja jej episkopatu mąci atoli długo jeszcze stosunek Rawenny z papieństwem. Bo jak przedtem, podniecani przez wschodnich cesarzy, sprzeciwiali się arcybiskupi rawennaccy niejednokrotnie prymatowi papieża, tak teraz, już za Karolingów, zapragnęli udzielnosci politycznej dla siebie i wszczęli uporczywe walki z Rzymem o niepodległość Rawenny. Sam potężny wskrzesiciel zachodniego imperjum, Karol Wielki, pojawił się w ciągu ostatnich lat panowania osobiście w Rawennie. Ów »złoty koń« — *equus aureus*, — którego wedle jednej z późniejszych kronik rawennackich miał on wówczas wywieźć z Rawenny, był zapewne częścią pomnika Teodoryka, zaginionego bez śladu. Ale do dziś

dnia sterczą w Akwizgranie wylamane z rawennackiego pałacu Teodoryka starożytne kolumny, które wielki cesarz zabrał i przewiózł do swej stolicy północnej, gdzie stawiał na wzór rawennackiego kościoła S. Vitale tum, w którym miał spocząć na wieki. Następcy jego, Karolingowie włoscy, często przebywali w Rawennie, a saska dynastia Ottonów, która zagarnęła spadek po Karolingach niemieckich, przy zakładaniu rzymsko-niemieckiego cesarstwa i wśród powtarzających się wypraw do Włoch niejednokrotnie gościła w jej murach. Z tą chwilą stała się nawet Rawenna, wskutek obronnego swego położenia, a poczęści i dla mętnego zawsze stosunku swoich pasterzy z Rzymem, jednym z głównych punktów oparcia cesarzy na ziemi włoskiej, potem, wśród rozgorzałych walk beria z pastorałem, ważnem środowiskiem Gibellinów we Włoszech.

Patrzyły więc stare świątynie rawennackie na Ottona Wielkiego, kiedy po koronacji w Rzymie, tu, w ich cieniu, wznosi dla siebie rezydencję, z której atoli nie pozostało dziś nawet śladu. Patrzyły z kolei na syna jego, Ottona II, gdy z piękną i mądrą małżonką, grecką księżniczką Teofanią, dłużej wśród nich gościł i stąd na wojnę ze Saracenami na południe wyruszał. Widziały wreszcie trzeciego, młodego i marzycielskiego Ottona, kiedy w r. 1001 przybył tu w pątnicznej szacie z Rzymu i w opactwie klasseńskim zamknął się pod okiem św. Romualda na ćwiczenia ascetyczne, do których Iгнаł zawsze z żarem swej mistycyzmem owianej duszy. Wymowny napis w S. Apollinare in Classe świadczy po dziś dzień, że »bazylikę tę i pustelnię klasseńską przez dni czterdzieści zamieszkiwał, tu we włosienicy i wśród umartwień pokutę za grzechy czynił i wzniosły przykład pokory dawał, a zwyciężając samego siebie, świątynię tę i własną pokutę uszlachetnił« — *et sibi imperator templum hoc et poenitentiam suam nobilitavit.*

Potem, w XI stuleciu, w czasie kiedy rozgrywał się najbar dziej wstrząsający ze wszystkich dramatów średniowiecznych, wśród zapasów Kościoła z państwem o sumienie świata, oglądała Rawenna w swoich murach ponurą postać cesarza Henryka IV. Przybywał on tu wkrótce po sromotnem upokorzeniu w Canossie.

aby gotować zemstę na znieprawionemu Hildebrandowi, i stąd, z pochopnej zawsze do oporu przeciw papieżowi metropolji rawnackiej, wyznaczyć światu antypapieża. Arcybiskup Wibert z Rawenny stanął pod imieniem Klemensa III przeciw Grzegorzowi VII, ukoronował w nagrodę swego wyniesienia wyklętego Henryka koroną cesarską i trzymał przez długie lata chrześcijańską społeczność w kłótni i rozdarciu. Z tą tradycją weszła Rawenna w zawieruchę ery Hohenstaufów i we walkę, dzielącą całe Włochy na dwa obozy: Gwelfów i Gibellinów. Rawennaci stali upornie po stronie cesarskiej, a Barbarossa tak wysoko wierność Rawenny sobie cenił, że wśród jednej ze swych licznych wypraw włoskich przyniósł jej w nagrodę uznanie niepodległości. Zacieśniło to jeszcze węzły łączące Rawennę z Hohenstaufami, wzmocniło ją w XII w., ale wciągnęło w XIII wieku we wiry panowania Fryderyka II, zakończone straceniem Konradyna na rusztowaniu. Sam cesarz Fryderyk pojawił się po raz ostatni w Rawennie, kiedy w r. 1240 tłumił w niej przelotny bunt rawennackich Gwelfów, Traversarich i Polentów.

Bo i Rawenna nie uniknęła przeobrażeń, jakie dokonywały się w tylu miastach włoskich wśród rozkładu monarchji Hohenstaufów. Na tle przeciwieństw Gwelfów z Gibellinami wszczęte walki skłóciły wszędzie mieszkańców jednej i tej samej ziemi, jednego i tego samego miasta, żrących się, jak mówi Dante, »w obrębie muru jednego i fosy«, a wśród tych zbrojnych stronictw wybijały się naturalnym rzeczą porządkiem najcięższe jednostki na czoło, aby w ogólnym zamęcie zagarnąć dla siebie absolutną, bo na mieczu opartą, władzę.

Rawenna na tem rozdrożu dwóch epok, wśród powstających wszędzie tyranij, przechodzi sama pod panowanie rodu Polentów, którzy imiennie z ramienia papieża, w istocie dla siebie samych zagarniają i sprawują rządy. Pierwszy z nich, Guido Vecchio da Polenta, to przeciętny typ wczesnego kondotjera, który nie przebiera w środkach, aby pokonać współzawodników, Traversarich, Ubertainich, Mainardich, a ująwszy władzę w swoją dłoń, strzeże jej chytrze i zazdrośnie. Druga generacja po nim wymiera szybko. Ale pośród niej pojawia się na chwilę i ściga

żywym wspomnieniem w Rawennie blady cień kobiety, smutnego raczej kwiatu, który geniusz poety zerwał na czarnych polach Gehenny i podał pełen nieśmiertelnej woni wszystkim następnym pokoleniom kochanków. To córka Guida Starszego, Francesca da Polenta, znana powszechniej pod mianem Franceski di Rimini, o której kroniki mówią krótko, że ją ojciec wydał wbrew jej woli za ułomnego Gianciotta Malatestę, pana na Rimini, że rozkochała się w dorodnym i rycerskim bracie małżonka, Paolu Malateście i że schwyтана z nim na schadzce, zginęła wraz z kochankiem z ręki męża około 1285 r. w Pesaro.

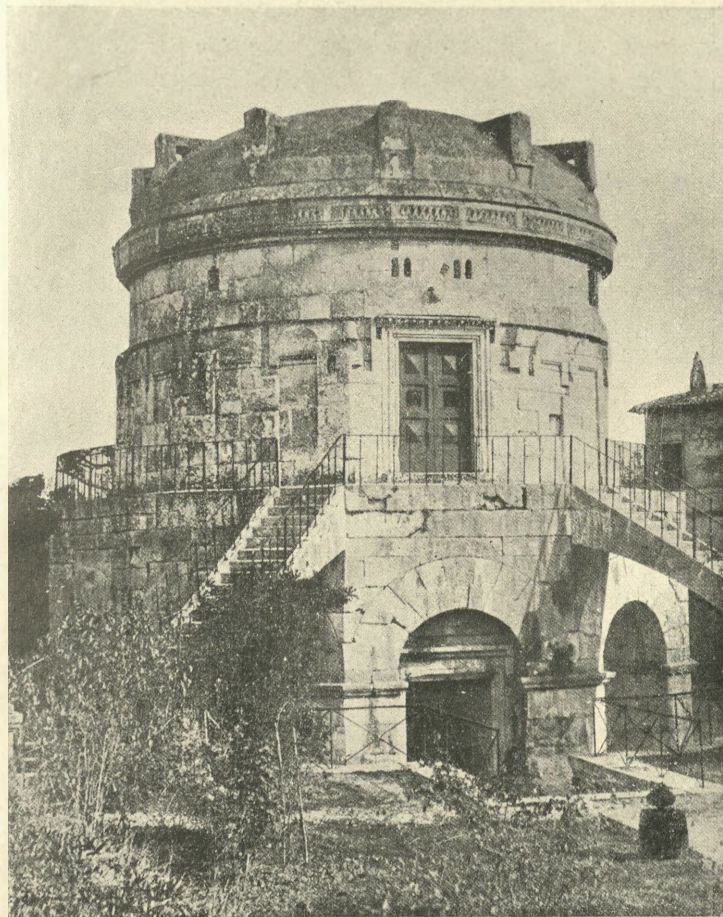
W drugim dziesięcioleciu XIV wieku staje na czele rodu Polentów i Rawenny wnuk założyciela dynastji, Guido Novello, o którym Boccaccio opowiada, że »był wyszkolony w wyzwolonych sztukach i największą czcią otaczał znakomitych ludzi przedewszystkiem takich, którzy nauką przodowali wśród innych«. Dwór jego zabłysnął też przez krótki zresztą jego rządów okres, pomimo małego politycznego znaczenia Rawenny, istotnym blaskiem, a wzorował się zapewne, jak inne współczesne, na świetnym dworze weronezyjskich Scaligerów. Migracja polityczna, wywołana przewrotami XIII wieku, dostarczała potrzebnych na te dwory żywiołów. Każde zwycięstwo jednego z walczących ze sobą stronnictw, czy zwały się one Gwelfami i Gibellinami, czy inaczej, kończyło się bowiem zawsze srogą proskrypcją pokonanych przeciwników. Stąd zaroilo się we Włoszech od tułaczych wygnańców, a wśród nich byli właśnie najcenniejsi zawsze przedstawiciele każdego stronnictwa. Z tych wyborowych zastępów uchodzących rekrutowały się przeważnie nowe dwory i takimi przybyszami otaczali się najchętniej, nie ufając własnym poddanym, młodzi władcy włoscy. Bo wzamian za dach i chleb przynosili im tułacze wierność, a gorycz ich wygnańcza i chęć odwetu na krzywdzicielach pasowała ich zawsze na duchową lub zbrojną straż gościnnego dworu.

Jak różnolite, a więc i liczne, bywały te z miasta do miasta przewrotami politycznymi gnane żywioły, o tem świadczy jeden z takich wygnańców, Sagacius Mucius Gazata, który w następujący sposób opisuje, jak jego i innych ugaszczal na swoim

dworze w Weronie słynny Can Grande della Scala: »Różne mieszkania według różnej ich kondycji były im przydzielone na zamku Scaligera, który każdego z nich otoczył służbą, dla każdego wykwintny stół zastawił. Mieszkania znaczone symbolem lub godłem: dla rycerzy był triumf, nadzieja dla wygnańców, muzy dla poetów, Merkury dla artystów, a raj dla kaznodziejów. Podczas wieczerzy muzycy, błazny nadworne, magicy, pokazujący rozmaite sztuki, przebiegali sale, ozdobione obrazami, które przypominać miały każdemu niestałość i zmienność losów. A sam Can Grande wołał czasem do swego stołu którego z gości, jak Guida da Castello, zwanego powszechnie dla swej szczerości lombardzkim prostakiem, albo Dantego Alighieri«.

Z tem ostatniem nazwiskiem pada właśnie ostatni — chyba nie najmniej jasny — promień chwały także i na dzieje Rawenny.

Bo tu, na dworze Guida Novella dotarł Dante do kresu ziemskiej swej tułaczki i tutaj się na wieczny ułożył spoczynek. Toteż w tej Rawennie, prawdziwie zaludnionej grobami, gdzie co krok niemal bieleje jakiś stary sarkofag, a całe ich rzędy stoją po kościołach, w muzeach, nawet na ulicy, — ponad inne przyciągać będzie zawsze do siebie i przykuwać dzisiejszego przychodnia grobowiec Galli Placydji i grobowiec Dantego. Sterczą one oba, jak dwa słupy graniczne na wielkich zwrotach dziejów, z których jeden oznacza przejście ze starożytności w średnie wieki, drugi zamyka je i nową zwiastuje erę. *Habent sua fata libelli*, pisał starożytny poeta, ale mają swoje przeznaczenia i miejsca, gdzie, jak tu, w odstępnie dziewięciu stuleci dogorywać przyszły te dwie wspaniałe dusze: dusza imperjum rzymskiego, uosobiona w potomstwie ostatniego z wielkich Cezarów, Teodozjusza, i wcielona w Dantego dusza wieków średnich. Wszystkie inne sarkofagi, kryjące prochy dawno pomarłych Gotów, Longobardów, Greków, prawdziwe *sepulcra regionum* z czasów wędrówek narodów, które się przelewały falą przez Rawennę, milczą bowiem głuche, często bezimienne. Grobowce Galli i Dantego witają natomiast przychodnia głośną i zrozumiałą mową i jak niegdyś Wergiljusz towarzysza zaziemskiej podróży,



MAUZOLEUM TEODORYKA



ośmielają go, aby i on z nimi mówił: *parla tu, questi è latino*, — »teraz mów ty, bo to Latyn«.

Takie obrazy roztaczają się przed oczyma podróżnego, takich wrażeń dozna on wśród wędrówki po Rawennie, — najsilniejszych może, jeżeli wstąpi o zachodzie słońca do mauzoleum Galli Placydji: Umierające blaski dnia wpadają do wnętrza, i złoto mozaik błednie powoli i rozplywa się w błękiecie tła, jakby odbiciem tej światłości rzymskiej, która tu niegdyś, na wybrzeżu modrego Adrjatyku, ostatnim płomykiem zatliła się i zgasła. A kiedy potem, o zmroku, odezwą się na Anioł Pański z wieżyc bazylik rawennackich stare ich dzwony, bodaj te same, które wydzwaniały Dantemu ostatnią pieśń przy odejściu w zaświaty, o jakich śpiewał za życia, — wtedy Rawenna budzi się ze snu wieków i staje przed podróżnym cicha, dostojna i piękna »jako stała przez lata...«

II.

CÓRKA TEODOZJUSZA.

Rok 394 zapisał się w dziejach rzymskich jako ostatnia ich chwila chwały. Na Wschodzie rządził Teodozjusz, na Zachodzie, z rezydencją we Vienne w południowej Francji, młody Walentynjan II. Ale w państwie zaszły były w ciągu ostatnich dwóch stuleci doniosłe zmiany. Wojsko nie składało się już, jak dawniej, z Italczyków, tylko z najemników obcego pochodzenia. Wśród nich wzrastali ludzie nowi. Od Rzymian zapożyczali oni rzymską kulturę, a szczepiąc ją na swoim młodszym, tęższym organizmie, pięli się w górę i wynosili często ponad wiedniejących w starczym przekwicie ludzi rasy rzymskiej. W żołnierstwie, a więc wśród własnych ziomków, znajdowały te wystrzelające ponad poziom jednostki silne, pewniejsze, aniżeli je miał sam cesarz, oparcie. I tylko zakorzenione głęboko w barbarzyńcach przekonanie o wyższości rzymskiej i działający na ich wyobraźnię majestat rzymskiego nazwiska sprawiał, że się ci parwenjusze przez wiek prawie jeszcze ograniczali na dzierżeniu władzy, ale nie śmieli sięgnąć po jej znak zewnętrzny, po błyszczący diadem cesarski.

W podobny sposób ujął był rządy na dworze Walentynjana II w silną dłoń Arbogast, ze szczepu Franków. Niegdyś wojownik z pod znaków Gracjana i Teodozjusza, później naczelny wódz wojsk cesarskich w Galji, obsadził on ziomkami

i stronnikami wszystkie godności i urzędy, a Walentynjanowi pozostawił tylko imię cesarza. Ambitny młodzieniec niecierpliwie znosił narzuconą mu opiekę. Ale napróżno słał na wschód do Teodozjusza, ożenionego powtórnie z siostrą jego, Gallą, skargi na przemoc i upokorzenie, napróżno donosił, że jeżeli mu cesarski szwagier szybkiej nie da pomocy, to mu się chyba sromotną ucieczką z krępujących więzów ratować przyjdzie. Nieskory do prędkich postanowień Teodozjusz milczał i z pomocą się nie kwapił, a tymczasem przyszło do ostatecznego starcia pomiędzy bezsilnym władcą a zhardziałym sługą: dokument składający go z urzędów cisnął Arbogast w obliczu cesarskiem z pogardą o ziemię, a Walentynjan w uniesieniu rzucił się na niego z mieczem. Z trudem tylko zdołała straż przyboczna rozbroić rozszalałego z gniewu młodzieńca. Ale po kilku dniach znaleziono go uduszonego w głębi komnat zamkowych, a Arbogast kazał rozsiewać wieści o rzekomem samobójstwie cesarza.

Teraz zależało mordercy na szybkim daniu zamordowanemu następcy, któryby nie uszczuplał własnej jego władzy, a którego imię znalazłoby poklask u poddanych. Wybór jego padł na kanclerza dworu, Eugenjusza, a był dla epoki tem znamiennejszym, że wybraniec, zanim został sekretarzem Arbogasta i wzniósł się w urzędach, był nauczycielem retoryki i retorem z zawodu. Wiadomo zaś, do jakiego znaczenia w tych pierwszych wiekach nowej ery doszła, jak wszechwładnie nad umierającym starożytnym światem zapanowała retoryka. Bo aczkolwiek wymowa za cesarstwa, a więc z ustaniem zgromadzeń ludowych, stracić była powinna na doniosłości i wpływie, całe przecież wychowanie szkolne wówczas właśnie na jej nauce oparto. Retorzy stali się panami świata. Już Kwintyljan wnosił retorykę do rzędu »cnoty«, a współczesny Eugenjuszowi Libanius mawiał, że kto umie mówić, ten i rozkazywać potrafi. W rzeczywistości bywało inaczej. Retoryka zamieniła się w sztukę i obniżała często nawet do rzędu sztuczek, a słowa naogół zajęły miejsce czynów. Lecz odpowiadało to smakowi powszechnemu i było niejako apoteozą retoryki, która weszła była w krew ówczesnego

społeczeństwa, kiedy w osobie Eugenjusza cesarski diadem skroni retora uwieńczył.

Niemniej znamionującym różnicę czasów było zachowanie się samego Teodozjusza wobec tych wypadków w zachodnim państwie. Wysłańcom Eugenjusza, donoszącym o objęciu przez niego władzy i proszącym o uznanie za towarzysza w rządach, dał cesarz narazie odpowiedź wymijającą. Ale w rzeczywistości czuł się głęboko dotkniętym zamordowaniem brata ukochanej małżonki i wywróceniem porządku świata, który sam przed sześciu latami zaprowadzał, kiedy po zwyciężeniu pod Akwileją i straceniu uzurpatora, Klemensa Maksima, umocnił był na zachodzie tron młodego Walentynjana. Natychmiast też począł ściągać i zbroić legjony, lecz w obawie przed nową wojną domową, której grozę znał aż nazbyt dobrze, zwlekał jeszcze przez dwa lata, a przed powzięciem stanowczego postanowienia chciał na-przód poznać wolę Opatrzności. Poprzednicy jego, jedni z przekonania, drudzy ze zwyczaju, wzywali w podobnych przejściach augurów lub haruspeksów, którzy im wedle lotu ptaków albo wnętrzości zwierząt stawiali wróżby. Pobożny Teodozjusz, który sam dywinacyj pogańskich zakazywał surowo, zwrócił się gdzie-indziej. W pustyniach Tebaidy egipskiej, na szczycie góry, w samotnej celce, własnymi zbudowanej rękami, mieszkał od lat pięćdziesięciu, nie opuszczając jej nigdy, pustelnik, Jan z Lykopolis. Pięć dni w tygodniu trawił na rozmyślaniach i modlitwie, ale w sobotę i w niedzielę otwierał okienko i przyjmował wiernych, którzy zbiegali się do niego o pomoc i radę z najdalszych nawet stron, odkąd sława jego świętości rozniosła się po całym Wschodzie. Do tego pustelnika, którego imię dotarło było już i na dwór w Bizancjum, wysłał więc Teodozjusz zaufanego swego rzezańca Eutropiusa, aby zasięgnąć jego rady. Odpowiedź brzmiała pomyślnie. Z dalekiej pielgrzymki powrócił Eutropius z zapewnieniem, że świętobliwy mąż zwiastuje cesarzowi krwawe ale niechybne zwycięstwo. Cesarz przestał się wahać. Na czele wojsk, złożonych z Greków, Gotów, Iberyjczyków, Arabów, które wiedli wypróbowani już w poprzednich zwycięskich wojnach wodzowie, Stilicho i Timasius, a pod którymi zaprawiał się

w sztuce wojennej przyszył pogromca Rzymu, Alaryk, ruszył Teodozjusz w r. 394 na nieprzyjaciół.

W starciu tem stanąć miały naprzeciw siebie nietylko władza prawowita z uzurpowaną, nietylko Wschód ze Zachodem, ale — i to po raz ostatni z bronią w ręku — chrześcijaństwo z pogaństwem. Bo chociaż w jednym i drugim obozie wielu już wyznawało nową wiarę, choć zresztą sam Eugenjusz był chrześcijaninem, — związany krwią, tradycją i polityką z Rzymem, należał on do stronnictwa patrycjatu rzymskiego, który w onej właśnie chwili marzył w starej stolicy cesarstwa ponownie o reakcji pogańskiej. Te dawne senatorskie rody, które nie wyemigrowały za cesarzami do Bizancjum albo Medjolanu, uważały się bowiem za stróżów tradycji rzymskiej u prawdziwego jej ogniska, w Rzymie; a że zdawało im się, iż kult bogów był warunkiem i przyczyną świetniejszej własnej ich i miasta przeszłości, że szerzący się szybko chrystjanizm wstrząsał do głębi dotychczasowym porządkiem społecznym, a przez to sprzeciwiał się ich etyce i podkopywał ich przywileje, więc straciwszy starą wiarę w bogów, strzegli zazdrośnie ci epigonowie dawnych patrycjuszów przynajmniej obrzędów starego kultu, wierzyli tylko w to jedno, że los Rzymu i los ich własny związany jest nierozzerwalnie z losem bogów Olimpu. Zresztą od r. 313, od edyktu medjolańskiego, którym Konstantyn Wielki przyznał chrześcijanom wolność wyznania wiary, role się były odmieniły: teraz poganom chodziło już tylko o tolerancję dawnego kultu przez władze, ale odtąd też, przez cały ciąg IV wieku, chrześcijaństwo w zwyczajnym pochodzie postępowało naprzód, a załamanie się krótkotrwałej reakcji Juljana Apostaty przyspieszyło tylko bankructwo pogaństwa. Wiek IV wypełnia jeszcze ta walka obu obozów, a jakoby zewnętrznym jej znakiem był spór o ołtarz bogini Zwycięstwa, stojący w kurji, gdzie się zbierał senat. Posąg bóstwa i ołtarz postawił był tam August po bitwie pod Actium, a odtąd stał się on niejako talizmanem rzymskiego szczęścia, świętością polityczną Rzymu. Na nim każdy do senatu wchodzący senator zapalać musiał szczyptę kadzidła, ku niemu wyciągano ręce przy ślubowaniu na wierność nowemu cesarzowi. Przez wzgląd na

chrześcijan, zasiadających w senacie, i aby ich uwolnić od przymusu składania ofiary, syn Konstantyna Wielkiego, Constans, zostawił wprawdzie w kurji posąg bogini, ale ołtarz z niej usunąć kazał. Poganie rzymscy poczytali to sobie za śmiertelną obrazę. Przywrócił ołtarz na miejsce pierwotne cesarz Juljan Apostata, pozostawił go na niem cesarz Walentynjan I, ale ponownie wynieść go z kurji zlecił cesarz Gracjan. Przez sto lat prawie był więc ten ołtarz niejako miernikiem wznoszącej lub słabnącej naprzemian powagi chrześcijańskich cesarzy i pogańskiego w większości swej senatu. Znikał z kurji i pojawiał się w niej na nowo za przewagą jednego lub drugiego prądu. Cała literatura nagromadziła się nawet wokół tego zatargu, a protagონistami w nim byli po jednej stronie prefekt rzymski, wykwinny filozof i epistolograf, Symmachus, po drugiej wielki biskup medjolański, św. Ambroży, obaj potomkowie znakomitego rodu Aureljuszów.

Ale jeżeli ołtarz bogini Zwycięstwa był niejako symbolem zewnętrznym tej rozstrzygającej pomiędzy dwoma światami walki, to zarządzenia chrześcijańskich cesarzy wnikały głębiej w istotę rzeczy i przyspieszały pogrom starej wiary. Byłaby się ona sama przez się zapadła, bo wszelkie usiłowania filozofów, aby ją skrzepić i wzmocnić, doprowadzały tylko drogą mglistego panteizmu do zwątpienia, skoro przyjęto za jedyną prawdę, że prawdy dojść nie można. Z nauki preistoczyło się pogaństwo w doktrynę historyczną i miejscową, a stróże pogaństwa dbali już tylko o zachowanie historycznego i miejscowego zwyczaju. Przeciw tym zwyczajom zwracały się też przeważnie edykta cesarskie Gracjana, Teodozjusza, potem Honorjusza, kiedy z kolei zakazywały krwawych ofiar, zczasem ofiar wogóle, dywinacyj i wróżbiarstwa, kiedy wreszcie pod koniec IV wieku wyszedł rozkaz zamknięcia świątyń. Tylko, jak słusznie zauważono, ponawianie w pewnych odstępach czasu wciąż tych samych zakazów dowodzi, jak powoli i bez gwałtów przeprowadzano odnośne zlecenia cesarskie. Pozostanie to tytułem chwały chrześcijaństwa z epoki walki z pogaństwem, że historia nie zna przykładu poganina zasądzonego na śmierć i straconego za wyznawstwo, że

w Rzymie, właśnie za panowania Teodozjusza, wielu pogan, a nawet głównych obrońców starego kultu, jak najpierw Symmachus, potem Flavianus, najwyższe piastowało urzędy, i wreszcie, że w chwili zamykania świątyń rozbrzmiał wymowny głos św. Augustyna, wzywający, aby nie burzyć wbrew woli pogan posągów starych ich bogów. »Rozpocznijmy — wołał — od wywracania fałszywego bóstwa w głębi ich serc«, a równocześnie upominał, aby nie niszczyć przedmiotów dawnego obrządku, lecz obracać je na służbę prawdziwego Boga. W ten sposób dawał pochop do tak zbawienego dla cywilizacji przeistaczania tytu świątyń pogańskich na chrześcijańskie, — metamorfozy, która im zapewniała trwałość i życie, a jak tęcza przymierza łączyła chrześcijańską sztukę z sztuką starożytną.

Potrzeba było rozumu Teodozjusza, stałości z jaką zwykł był przeprowadzać swe zamiary, a przedewszystkiem wiary jego gorliwej, ażeby bez zbytnich wstrząśnień, bez gwałtu i grozy prześladowania, choć za pomocą surowych nieraz zarządzeń, zapewnić ostateczne zwycięstwo chrześcijaństwu. Od początku wytknął był sobie za cel zjednoczenie religijne cesarstwa — *ut unius et summi Dei nomen ubique celebretur* — »ażeby jednego i najwyższego Boga imię wszędy święconem było«, jak program swój określał, dodając, »iż prawdziwą wiarą jest ta, której Apostoł Piotr Rzymian nauczał i którą wyznaje rzymski biskup Damazy«. Szczęśliwy wojownik, zwycięzca napierających coraz silniej od północy Gotów, ale przezorny polityk, który czuł, że tego naporu młodych szczepów na długo nikt już zahamować nie zdoła, więc przyznający im charakter sprzymierzeńców cesarstwa, sprawował sam na Wschodzie rządy, ale umiał warować sobie wpływ i w państwie zachodniem, o którego losach z własnym działem zarówno rozstrzygał. Z ludźmi na Zachodzie w ciągłej pozostawał styczności, a zrećźnie liczył się przytem z wrażliwością zepchniętej na drugi plan kolebki cesarstwa, Rzymu, tego ostatniego starej wiary schroniska. Przypominał on niejednym rysem dawnych, wielkich imperatorów rzymskich, Augusta, Wespazjana, albo Trajana, własną zaś powagę opierał ponadto na nieznaney tamtym etyce chrześcijańskiej. Znaną powszechnie,

a najlepiej znamionującą charakter jego sprawą była rzeź w Tesalonice i jej skutki. W r. 390 zbuntowali się mieszkańcy tej stolicy illyryjskiej przeciw władzom i przedstawicielom cesarza, który sam niejednokrotnie, i to przez czas dłuższy, pomiędzy nimi był gościł. Przyczyna była błaha: Boteryk, przywódca załogi cesarskiej i zaufany Teodozjusza, wtrącił był ulubienca publiczności z igrzysk tessalonicznych, zwycięskiego zawsze wyścigów cyrkowych woźnicę, za hańbiący występ do więzienia. Lud żądał uwolnienia przestępcy, a kiedy władze stawiały opór, tłum rzucił się na Boteryka, zamordował go wraz z jego świtą, a smutnie pohaanbione trupy ofiar wióczył w triumfie po ulicach miasta. W Medjolanach, gdzie właśnie przebywał, doszła Teodozjusza wieść o tych wypadkach. Rozgoryczony tem więcej, że co dopiero wspaniałomyślnem przebaczeniem winy uśmierzył był podobny bunt wybuchły w Antjochji, zawrzał gniewem, do jakiego zawsze w pierwszym uniesieniu bywał skłonny, lecz z którego zazwyczaj równie prędko ostygł. Tym razem, niestety, przewrotni doradcy podniecali w obrażonym chęć pomstowania. Podobno cofnąć chciał jeszcze z drogi posłańców, niosących rozkazy do Tessaloniki, ale było już zapóźno. A rozkazy były krwawe: zaproszonych imieniem cesarza na igrzyska do cyrku mieszkańców nieszczęśliwego miasta otoczyli nastawieni siepacze i bez różnicy płci i wieku wycięli w pień. Rzeź trwała przez trzy godziny, a kroniki liczą siedm do piętnastu tysięcy ofiar.

Zgrozą przejęła tak zresztą do widoku krwi i samowoli imperatorów przywykły świat starożytny, szerząca się szybko w granicach państwa wieść o srogiej zemście cesarza. Jego samego zaś jęły dręczyć wyrzuty sumienia i zgryzota, mianowicie odkąd szanowany przez niego i czczony na wzór ojca biskup medjolański, Ambroży, wykluczył go ze społeczności wiernych. Na wiadomość o tem, co zaszło, opuścił był bowiem św. Ambroży zrazu Medjolan, ażeby uniknąć obcowania ze splamionym krwią cesarzem. Aby jednak milczeniem nie dać sobie pozorów grzesznej pobłażliwości, w liście pełnym bólu i grozy wytknął mu winę. »W Tessalonice — pisał — zaszedł fakt, jakiego dzieje

nie pomną. Gdy wieść o nim nadeszła, gromadził się właśnie synod gallickich biskupów. Ale nie było pomiędzy nimi ani jednego, któryby nie był jęknął z boleści, lub bez głębokiego wieść tę przyjął poruszenia. Nie, pośród współwyznawców Ambrożego nie znajdziesz takiego, coby cię z czynu twojego rozgrzeszył«. Następnie wzywał cesarza do pokuty, aby na wzór Dawida »zniósł grzech z Królestwa swego«, a upewniał go, że nie z uporą, ale z bojaźni Boga i z przekonania przeciw niemu staje. Toż nie śmiałyby ofiary świętej spełnić wobec pokalanego krwią choćby jednej ofiary niewinnej, a cóż dopiero wobec zbroczonego krwią ofiar tyłu! »Piszę do ciebie, — kończył — własnoręcznie, ażebyś tylko sam list ten czytał... Jeżeli wierzysz, idź za mną, jeżeli wierzysz, powtarzam ci, daj słowom moim folgę«. A kiedy wstrząśnięty do głębi Teodozjusz, aby powrócić do grona wiernych, szedł do kościoła z ofiarą, u wrót kościelnych stanął przed nim nieustraszony biskup i zabronił mu wstępu. Dopiero po kilku miesiącach naznaczonej pokuty dozwolił Ambrożo wejść wyzutemu z oznak monarszej godności cesarzowi w dzień Bożego Narodzenia do kościoła, a gdy dostojny pokutnik wyznał publicznie swą winę, rozgrzeszył go i podał mu Ciało Pańskie. Skutkiem bezpośrednim był edykt, zakazujący spełniania wyroków przed upływem trzydziestu dni od dnia, w którym zapadły. Ale donioślejszem było wrażenie wywołane takim ukorzeniem się najwyższego majestatu na ziemi przed wyższym, niewidzialnym. Stałość Ambrożego, pobożna uległość Teodozjusza — oznaczały triumf chrześcijańskiego sumienia.

Niewczesną, zapóźnioną próbą były więc zakusy pogan rzymskich przywrócenia raz jeszcze starej wierze przewagi, gdy we dwa lata po tych wypadkach w Tessalonice i Medjolanie Arbogast wyniósł Eugenjusza na tron zachodni. W stronę tego ukoronowanego retora zwróciły się przeciw ich oczy, przy nim stanął przedewszystkiem nowy ich przywódca, przedtem zaszczytany szczególnymi łaskami Teodozjusza, którego pisał dzieje, uczony lecz namiętny prefekt pretorjanów, — Nikomachus Flavianus. Na jego nalegania zezwolił milcząco chwiejny Eugenjusz na

wzniesienie ponowne ołtarza Zwycięstwa w kurji senatu i w jego ręce oddać nakazał zagarnięte dochody świątyń. Cały Zachód począł się znów chwiać pomiędzy nową nauką i starym obyczajem, a wśród ludu krążyły ciemne przepowiednie, że z końcem dobiegającego kresu IV stulecia runie też niechybnie raz na zawsze chrześcijaństwo. Flavianus zaś, zażywający sławy uczonego augura, w chwili właśnie, kiedy za krzepiącą odpowiedzią Jana z Lykopolis Teodozjusz gotował się na orężną rozprawę z Eugenjuszem, wywiesić kazał godła Hērkulesa na sztandarach rzymskich, Jowiszowi poświęcił wąwozy alpejskie, z wnętrzości zwierząt wróżył starych bogów triumf, a w Medjolanie wygrażał Ambrożemu, że bazylikę medjolańską na stajnię zamienić każe. Ambroży bowiem stał nieugięty po stronie Teodozjusza. Próżno sam Eugenjusz zabiegał o jego względy, aby mieć w nim na wszelki wypadek gotowego pośrednika; biskup unikał z nim spotkania, ale w śmiałych listach wytykał mu błędy. »Nikogo — pisał — nie obrażam, jeżeli Boga ponad wszystkich wynoszę i Jemu ufając, nie waham się wam, imperatorom, mówić to, co czuję«.

U stóp Alp Julijskich, dzisiejszego Karstu, niedaleko Akwilei, a na tych samych polach, gdzie przed kilku dopiero laty rozgromił był Teodozjusz wojska uzurpatora Maksimusa, zderzyły się teraz, w tym pamiętnym roku 394, prowadzone ze Wschodu przez Pannonję zbrojne jego siły z hufcami, które Eugenjusz i Arbogast przeciw niemu od zachodu wiodli. Odrazu zawrzała zacięta bitwa. Pierwszy dzień był dla Teodozjusza niepomyślny: zdrożone jego żołnierstwo nie mogło przełamać żelaznego muru Gallów, a napierający na nich w pierwszych szeregach Goci gęstym trupem zalegli pole. Pod wieczór wszczął się nawet popłoch i legjony rzymskie jęły pierzchać w nieładzie, a sam Teodozjusz cofnął się i schronił w góry. Ale noc miała odmienić losy. Wysunięte na straż wąwozów przednie pułki Arbogasta dały się za sowitą nagrodą przeciągnąć pod znaki wschodniego cesarza. Teodozjusz wdał się z nimi skwapliwie w układy i sam o świcie spisał na tabliczkach ich warunki. Wnet rozpierzchle jego żołnierstwo skupiło się znów wokoło tak niespodziewanych posiłków i złączone z nimi runęło rankiem

na wojska Arbogasta. Widok własnych pułków, następujących teraz w szeregach nieprzyjacielskich na nich, pomieszał szyki Gallów, a burza, jedna z tych burz, jakie i po dziś dzień tak zniecka zrywają się w Karście i lecą w dolinę, dokonała reszty. Gallowie wołali, że to tajemnicza moc Teodozjusowego Boga z wichrem i ogniem niebieskim na nich spada, i rzucając broń, pierzchali w rozsypce, a tymczasem wojsko Teodozjusza, skryte dotąd przed nawałnicą u podnóża Alp, wylewało się coraz szerzej na równinę i zajmowało pole. Zwycięstwo cesarza było zupełne: Eugenjusz przybiegł paść mu do nóg, ale otaczający Teodozjusza żołnierze ścięli powalonemu u stóp cesarskich głowę. Dzielny Arbogast błakał się jeszcze przez kilka dni po przełęczach górskich, aż nie widząc nikąd nadziei ratunku, własnym się przebił mieczem. Zginął również Flavianus, niewiadomo czy z ręki nieprzyjaciół, czy własnej. A Teodozjusz, teraz pan całego świata, szedł jakby w triumfalnym pochodzie dalej na zachód. W drodze już otrzymał listy, w których mu Ambroży w podniosłych słowach winał zwycięstwa i wzywał do umiarkowania wobec podbitego Zachodu, »ażeby Kościół Boży, radujący się z pokoju danego sprawiedliwym, cieszył się narówni z rozgrzeszenia winnych«. W Medjolanie objął cesarz w ramiona i uściskał świętego biskupa, który wpływem chrześcijańskim jednał mu przywiązanie ludów.

Bo cały ówczesny świat, wszystkie prowincje rozległego cesarstwa, wszystkie stany i władze witały z radością połączenie imperjum w jednym i to w takim ręku. Zdawało się, że po burzach III i IV wieku chmury rozchodzą się nareszcie, i że w osobie Teodozjusza wzeszło znów owo słońce, które jasnym blaskiem złościło niedgdyś majestat rzymskiego państwa. W rzeczywistości był to tego słońca ostatni promień i zachód. Sam cesarz nie łudził się, żeby długo na jednych barkach mógł spocząć ciężar olbrzymiego państwa, o którym już za Augusta pisał Liwjust, że *magnitudine laborat sua* — że »chorzeje od własnej wielkości«; — państwa, bronionego teraz, w cztery wieki po Augustie, już tylko przez najemnych, obcych żołnierzy, na których skinienie koczujące

poza granicami bratnie ich hordy każdej chwili gotowe były przekroczyć te granice i runąć do wnętrza. Może dzielność Teodozjusza, może połączone u niego zdolności wodza i męża stanu mogłyby były na czas pewien sprostać zadaniu zjednoczonych rządów. Ale choroba, w którą popadł wnet po zwycięstwie nad Eugenjuszem, rozwiła nadzieje. Był w sile wieku, bo liczył dopiero lat pięćdziesiąt, lecz trudy ostatniej wojny, a jak mówi niechętny mu zresztą historyk grecki Zosimos, zbytek, którym się w ostatnich latach na dworze w Bizancjum otoczył i który zmięczył wpierrw do hartu żołnierskiego przywykły organizm, podkopały mu zdrowie. Dzieci, które gorąco miłował, urodzone z pierwszej małżonki, Aelji Flaccilli, ośmnastoletniego Arkadjusza i jedenastoletniego Honorjusza, oraz córkę z drugiej żony, a siostry Walentynjana II, Galli, młodziczką Gallę Placydję, polecił opiece wiernego Ambrożego i orężowi walecznego Stilichona. Pomiędzy synów podzielił państwo: Wschód przypadł starszemu Arkaduszowi w udziale; Italja, Galja, Brytanja i Afryka, oraz z Illyrii Pannonja i Dalmacja przeznaczone były dla Honorjusza. Jako przyszłego władcę Zachodu przywołał go chory ojciec nawet odrazu do Medjolanu i choć opadający na siłach, ukazał się raz jeszcze ludowi na igrzyskach cyrkowych, wyprawionych na powitanie syna; tegoż samego dnia, 17 stycznia 395 roku, skonał na zamku medjolańskim. Z nim zniknął z widowni ostatni cesarz wielkiego pokroju, na miarę i wedle tradycji Augusta, człowiek zresztą przesiąknięty jeszcze nawskróś starą zachodnią kulturą rzymską, a zarazem najgorliwszy z szeregu cesarzy wyznawca i krzewiciel nowej wiary w jedyne Boga, więc znamienity łącznik na rozdrożu dwóch epok. Świadectwo poganina, retora Libaniusa, stwierdzające, że pomimo absolutnej władzy żadną pozytywną ustawą nie zmuszał on nigdy poddanych do przyjęcia wiary panującego i nie uzależniał praw obywatelskich od wyznania; gorące słowa, któremi żegnał odjeżdżające do Konstantynopola zwłoki cesarskiego przyjaciela św. Ambrożego, płacząc po tym, który »wolał sobie ludzi religją aniżeli postrachem niewolić« — *qui maluit sibi homines religione*

quam timore astringere — rzucają na tę ostatnią z wielkich postaci starożytnych już i jakiś blask nowożytnej zorzy.

Że taka postać u szczytu mogła być w owej epoce upadku już tylko wyjątkowem i przemijającym zjawiskiem, tego miały dowieść aż nazbyt szybko dzieje Teodozjuszowego potomstwa. Jedna Galla Placydja, której, jako kobiecie, najmniejsza rola z trojga dzieci przypadła i której znaczących zawsze, ale niestety rzadkich i zatartych śladów wśród burzliwych przewrotów pierwszej połowy V wieku szukać niełatwo, odziedziczyła coś z dzielności ojca. W kronikach współczesnych pojawia się jej postać zrazu tylko epizodycznie, tylko na tle dziejów braci, ale właśnie na tem tle marnem i bladym znaczy się zawsze jakimś rysem wyższym i męskim. Bracia bez woli, bez hartu, bez charakteru, zawdzięczający stanowiska tylko pamięci wielkiego ojca, staczali się szybko do rzędu ślepych narzędzi w rękach dworskich faworytów: Arkadiusz przybocznych eunuchów, Honorjusz zmieniających się przy nim wojskowych dowódców. Starszy ukazywał się publicznie na wozie wybitym złotą blachą i wykładanym drogiemi kamieniami, a ciągniętym przez parę białych jak śnieg mułów; na głowie nosił diamentowy diadem, a suknia wyszyta była od stóp do głów mieniącemi się w świetle klejnotami; złote zausznice, naszyjniki, naramienniki i sprzączki dopełniały stroju. Otaczała go gwardja zakuta w błyszczące pancerze, a zbrojna w połączane puklerze i miecze. Tak samo i pałac lśnił się wszędzie od marmurów, mozajk, barwnych jedwabiów i tkanin, a sienie, podwórza i schody wysypane były złocistym piaskiem. Nic dziwnego, że w takim środowisku i w takim obyczaju stał się Arkadiusz niebawem owym sztywnym, surowym i martwym ikonem bizantyńskim na tronie, w jaki Wschód, wschodni przepych i wschodnia miękkość zamieniały tak często swych władców.

Honorjusz i młodziotka Galla przybyli po śmierci ojca do Rzymu pod opiekę wszechwładnego Stilichona, któremu umierający Teodozjusz dzieci był polecił. Stilicho, z rodu Wandal, ale z ojca, który już w rzymskich legjonach służył, — był pierwszym przykładem rozwielenienia się obcych, nie-rzymskich ży-

wiołów w państwie rzymskiem. Honorjuszem zawładnął tem łatwiej, iż go bliskie związki z rodziną cesarską łączyły. Jeszcze Teodozjusz dał mu być bowiem za żonę ukochaną swoją bratanicę, piękną Serenę, a w trzy lata po śmierci Teodozjusza wydał Stilicho urodzoną mu z Sereny córkę Marję, później, po zgonie tejże, drugą swoją córkę Termancję za młodego Honorjusza, aby ściślejszym węzłem cesarskiego pupila do siebie przywiązać. Ambicje jego sięgały przecież i poza granice zachodniego państwa: pomny, że mu cesarz Teodozjusz obu synów oddał w opiekę, pragnął ją rozciągnąć także na Arkadiusza i wschodnią część Teodozjuszowej schedy. Wzrastające wpływy ministrów konstantynopolitańskich, najpierw Rufina, potem Eutropiusa, krzyżowały mu zamiary. Ale już same te zakusy i wyniki z nich starcia dzieliły oba dwory, rozdawały panujących braci i ze zdumiewającą szybkością kopwały przepaść pomiędzy złączonemi co dopiero, choć na tak krótko, przez Teodozjusza obiema częściami państwa. Niezgodę podsycił jeszcze niepospolitym talentem swym Klaudjan, najmodniejszy naówczas i najbardziej poczytny poeta rzymski, który acz z obcego rodu, szczerą miłością ukochał Rzym, jego starą tradycję i starych bogów i w gryzących inwektywach smagał współzawodniczący z nim Wschód, jego stolicę i jego ludzi. Niestety dla państwa nie było już Ambrożego, ażeby czuwać nad sierotami ukochanego przezeń Teodozjusza i strzec pomiędzy nimi zgody. Wkrótce po śmierci wielkiego cesarza rozstał się i on z tym światem. Z umysłu zaś zapewne zaniedbywał Stilicho wychowanie Honorjusza, aby powolne mieć w nim zawsze narzędzie. Młody cesarz oddawał się zrazu z zamiłowaniem jeździe konnej i strzelaniu z łuku, ale czasem zarzucił te męskie ćwiczenia, a chowanie i karmienie drobiu stało się ulubionem zajęciem gnuśniejącego dekadenta.

Tylko jeżeli Arkadiusz powierzał zwykle cugle państwa rękom umiętym co najwyżej motać kłębki intryg dworskich, to oddając je na Zachodzie Stilichonowi, składał je Honorjusz w dłoń silną i dzielną. Przez szereg lat bronił Stilicho i zdołał obronić zwycięsko Włochy i Rzym przed naporem barbarzyń-

ców, naporem, który wzrósł był w dwójnasób z chwilą śmierci Teodozjusza. Bo Goci nie chcieli odtąd zadawałnic się rolą sprzymierzonych i nowy ich wybraniec, ambitny Alaryk, wyszkolony pod wodzami rzymskimi w sztuce wojennej, śmiało teraz po dalszą zdobycz wyciągał rękę. Już w tymże samym roku, w którym Teodozjusz zamknął oczy, ruszyli Goci na Grecję, niszcząc i pustosząc kraj aż po Spartę. Dwulicowa polityka bizantyńska utrudniała Stilichonowi obronę i paraliżowała jej skutki: zazdrośni o podzieloną przez Teodozjusza pomiędzy synów Illyrję, oddali ministrowie Arkadiusza część jej, a mianowicie Epirus, Alarykowi i stworzyli w ten sposób groźne dla zachodniego państwa sąsiedztwo. Wiek V rozpoczął się też odrazu od walk z barbarzyńcami. Nietylko Wizygoci pod przewodem Alaryka, ale i Ostrogoci, i wkrótce potem inne dzikie szczepy germańskie, które prowadził z północy groźny Radagais, wtargnęły do Włoch. Błyskawiczne przerzucania się Stilichona, który uśmierzył był właśnie bunt prowincyj afrykańskich, z jednego miejsca na drugie, legjony, które jakby z pod ziemi wydobywał, uratowały Rzym i Honorjusza. Cesarz wśród ucieczki z Medjolanu przed następującym tuż za nim nieprzyjacielem tylko zjawieniu się nagłemu Stilichona zawdzięczał, że nie wpadł w ręce nieprzyjaciół. Ale strwożony przeniósł w r. 402 rezydencję, dwór i skarby swoje do odległej Rawenny, która broniona przez laguny z jednej, a bagna z drugiej strony, bezpieczniejszem zdawała mu się schroniskiem.

Kiedy wreszcie po zwycięstwach Stilichona nad Alarykiem pod Pollencją i Weroną nadeszła w r. 404 chwila spokoju i względnej ciszy, przyjął Honorjusz zaproszenie senatu, żeby w Rzymie święcić triumfem wyparcie Gotów z granic Italji. Lud rzymski, zalegający drogę od mostu Milwijskiego aż po wzgórze Palatynu, tem radośniej witał wjeżdżającego na wozie triumfalnym Honorjusza, że od stu lat po raz trzeci dopiero danem mu było oglądać panującego. Obok cesarza stał Stilicho, a pochód przesuwiał się pod bramą triumfalną, zbudowaną umyślnie na to święto i ozdobioną napisem, stwierdzającym zbyt ufnie »wieczyste poskromienie Gotów«. Wymowny Klaudjan śpiewał peany na

czeń cesarza, zwycięskiego wodza i zmartwychwstającej w nowej świetności Romy, a szereg igrzysk, walk gladiatorów, łowów na dzikiego zwierza, wyścigów i tańców wojskowych bawił w cyrku tak chciwą zawsze widowisk ludność stołeczną.

Na tych to igrzyskach w czasie pobytu Honorjusza w Rzymie zaszedł fakt, zarówno dla obumierającej kultury pogańskiej, jak dla szerzących się pojęć chrześcijańskich doniosły. Wiadomo, czem były dla publiczności starożytnej walki gladiatorów, to karmienie oczu widzów i naprężanie ich nerwów widokiem zaciekłości walczących, potem krwi, ran, konania i zgonu ofiar. Liczba tych ofiar dochodziła w większych miastach rocznie do setek, nawet do tysięcy. Wielką zaiste musiała być bezlitośna oschłość dusz pogańskich, jeżeli nawet tak wyrafinowani a z natury łagodni ludzie, jak Plinusz młodszy i Symmachus chwalili te okrutne zabawy: pierwszy, gdy upatrywał w nich dyscyplinę męstwa i hartu oraz szkołę »pięknych ran« i lekceważenia śmierci; drugi, kiedy w liście do Flawjana kiedyś narzekał, że z przygotowanych na igrzyska saskich jeńców dwudziestu dziewięciu odważyło mu się samobójstwem od przeznaczenia uchylić! Naprawdę próbowali chrześcijanie zwalczać ten dziki obyczaj; naprawdę świeżo właśnie nawoływał pobożny poeta Prudencjusz Honorjusza, »aby zniósł ohydne ofiary, aby Rzym oczyszczony przez Teodozjusza z krwi byków, syn jego teraz z krwi ludzkiej oczyścił i aby już nikt nie umierał dla uciechy drugich«. Schlebający ludowi cesarze nie śmieli naruszać ulubionych przez lud ten igrzysk, a jeden z nich w znamienym zwrocie zakazywał ograniczeń cyrkowych zabaw — *ne ex nimia harum restrictione tristitia generetur* — aby się z tych ograniczeń nie narodził smutek, — ten smutek ludu, który bywał czasem wyrokiem śmierci cesarów. Dobrowolna ofiara życia własnego miała nareszcie położyć kres swawolnej frymarce życiem innych. Bo gdy na jednym z igrzysk, wyprawianych na cześć Honorjusza, gladiatorowie rozpoczęli walkę, nagle z grona widzów rzucił się pomiędzy nich jakiś błady, wynędzniały mnich i stanąwszy pośrodku areny, jał dzielić walczących i własną piersią zaślaniać piersi, w które godziły żelaza. Zdumieni zrazu widzo-

wie porwali się z miejsc, ale wnet obelgi, przekleństwa, wreszcie grad kamieni spadł na zuchwałego śmiałka, który považał się mącić zabawę wszechpotężnego ludu. Telemach — bo tak zwał się ów pustelnik, przybyły niedawno o pątnicznym kiju z dalekiego Wschodu do Rzymu — śmiały swój czyn przypłacił życiem. Ale krew jego była ostatnią krwią ludzką, która zarumieniła żółte piaski rzymskiego Kolizeum: pod wrażeniem tego zajścia zakazał tegoż jeszcze roku Honorjusz walk gladiatorów, które odtąd zniknęły na zawsze.

Tak więc, choć poeta Klaudjan wskazywał z dumą cesarskiemu gościowi w Rzymie na wieniec świątyń, okalających jakby nadziejską strażą Palatyn, i na czuwające wszędzie nad miastem posągi starych bogów, chrześcijaństwo siłą wiary i ofiary szcerbiło ostatnią twierdzę pogańską: zakorzeniony wśród ludu obyczaj. Równocześnie zaś rosły naprzeciwko tych świątyń, mianowicie od połowy IV wieku, liczne kościoły — jak Bazylika Liberjańska, jak potem Sta Maria in Trastevere, a przedewszystkiem jak wspaniała bazylika na grobie Apostoła Pawła przy drodze do Ostji, której budowę rozpoczął Teodozjusz, prowadził dalej Honorjusz i która w pierwotnym swym kształcie dotrwała aż do pożaru w 1825 roku. Oszczędzony przez ogień łuk triumfalny u skrzyżowania nawy głównej z transeptem, zdobny w bogate mozaiki, nosi na sobie współczesny napis Galli Placydji i jest jedyną zachowaną dziś w Rzymie po niej pamiątką, stwierdzającą, że ów przybytek rodzinny jej staraniom strój i ozdobę wewnętrzną zawdzięczał. Poczynał się budować nowy Rzym chrześcijański, ale budowa starego państwa kruszyła się zato coraz szybciej i groźniej. Bo po opuszczeniu przez Honorjusza tak rzadko odwiedzanej stolicy, nowe wnet chmury nadciągnęły na Włochy. Już w następnym roku przekroczył Radagais po raz wtóry Alpy i dotarł w szybkim pochodzie aż pod mury Florencji. Znowu dzielność Stilichona uratowała Rzym i Italję. Ale dla odparcia tego nowego napadu musiał on ściągnąć zewsząd legjony i ogołocił w ten sposób dalsze granice państwa. Przez te otwarte teraz wrota runęły hordy barbarzyńskie na Zachód: Hiszpanja, ta kolebka rodu Teodozjusza, Galja, Brytanja, były pra-

wie stracone dla cesarstwa. Świetne zwycięstwo Stilichona nad wojskami Radagaisa pod Florencją, śmierć samego ich wodza, nie okupywały w pełni tak wielkich strat rzymskich. Lecz Stilicho, polityk trzeźwy a znający nawskróś słabość państwa, zdawał się dbać już tylko o sam rdzeń jego i serce, o Włochy i o Rzym. Wiedział zaś, że prawdziwe niebezpieczeństwo grozi im przede wszystkim ze strony Gotów i Alaryka. Dlatego po wygranych pod Pollencją i Weroną odciągnął go od przymierza ze wschodniem cesarstwem na układ z Zachodem. Tylko chytry Got i nadal z dworem konstantynopolitańskim w tajnym pozostawał porozumieniu, sprawę podzielonej Illyrii, owo jabłko niezgody pomiędzy rządami obu panujących braci, wyzyskiwał na swoją korzyść, ale wzrok trzymał wciąż wlepiony w Italję, w ten prawdziwy cel pożądliwości Gotów, który pod koniec wieku, za Teodoryka, stać się miał istotnie łupem chociaż innego ich plemienia.

Aby powstrzymać nowe ich zapędy i zadowolić wzrastające wciąż roszczenia Alaryka, wdał się z nim Stilicho w nowe układy. Sam jednak nie-rzymskiego pochodzenia, wszechwładny lecz zmuszony przecież liczyć się zawsze z podejrzliwym w swej bezsilności Honorjuszem, tym razem pokryć umyślił nowy układ z Gotami powagą senatu. Zbudzeni jakby po kilkowiecznym śnie senatorowie rzymscy, może nietyle z przekonania słabych już tylko jednostek, co z tradycyjnej dumy swego grona, wzdrygali się długo przed przyjęciem warunków, które skazywały Rzym na płacenie haraczu barbarzyńcom. Ale przemogły namowy Stilichona: senat potwierdził traktat i uchwalił tytułem subsydjów kwotę czterech tysięcy funtów złota, ażeby zachować przymierze z Alarykiem i zapewnić pokój Italji. Okrzyk cnotliwego senatora Lampadiusa: *non est pax, sed pactio servitutis* — to nie pokój, ale traktat niewoli — nie przebrzmiał jednak bez echa i stał się hasłem reakcji umierającego Rzymu przeciw obcym żywiołom, które, uosobione w Stilichonie, przeistaczały do gruntu państwo, choć wstrzymywały je w istocie do czasu nad brzegiem rozwierającej się coraz groźniej przepaści.

Tę chwilę wyzyskali wrogowie Stilichona, żeby zachwiać jego stanowiskiem na dworze w Rawennie. Po całych Włoszech rozsiewano tajemnicze wieści o zdradzie, o sprzedaniu państwa przez Wandala Gotom, a cesarzowi szeptano do ucha, że Stilicho dybie na jego życie, ażeby wynieść na tron własnego syna Eucheriusa. Dawne przywiązanie Honorjusza do naznaczonego mu przez ojca doradcy przemieniło się w strach, wkrótce w nienawiść. Ze zdziwieniem spostrzegał Stilicho, jak w powolnym dotąd wychowawcu budził się opór, jak krzyżowano jego zamiary, jak wreszcie bez jego wiedzy samowolne z Rawenny wychodziły rozkazy. Wreszcie oświadczył cesarz, że chce jechać do Pawji, aby tam pożegnać w obozie odchodzące na obronę Galji wojska. Były to pułki złożone z Rzymian i rekrutowane we Włoszech, a nienawidzące Stilichona, który znał ich miękkość i niedołęstwo, więc przekładał ponad nie zawsze obce wojska najemne. W Bolonji nastąpiło ostatnie spotkanie Honorjusza ze Stilichonem. Cesarz nie zdradził ani słówkiem zmiany uczuć względem starego sługi, a odjeżdżając uściskał go na pożegnanie. Czwartego dnia atoli po przybyciu do obozu, w podsuniętej mu przez doradców mowie sam dał hasło gwałtów. Żołnierze rzucili się na przełożonych, stronników Stilichona, i wycięli ich w pień. Rzeź trwała przez noc całą, a struchlały Honorjusz błąkał się bezradnie po ulicach miasta, aż nad ranem przedłożono mu do podpisu dekret, potępiający pamięć ofiar, a stwierdzający wierność i niewinność ich morderców. Wieści o tem, co zaszło, szybko doszły do Bolonji. Wodzowie sprzymierzonych z otoczenia Stilichona parli do czynu, do marszu na Pawję i poskromienia winowajców. Ale on, zawsze do szybkich postanowień skory, jął się nagle wahać. Czy stracił wiarę we własne, wierne mu dotąd szczęście, czy nie ufał już sprzymierzeńcom, czy przez cześć dla cieniów Teodozjusza, na którego łasce wyrósł, wzdrygał się na myśl buntu przeciw jego krwi? Czy może wreszcie w tym czasie, przesiąkniętym zabobonem, ubezwładniało go przekleństwo, jakie na krótko przedtem na niego padło? Bo gdy w Rzymie kazał był zerwać złote tablice, zdobiące wrota świątyni Jowisza Kapitolńskiego, znaleziono pod nimi tajemniczy napis, grożący

śmiercią temu, kto by się na nie targnął, i odtąd lud rzymski zuchwalemu łupieżcy rychłą wróżył karę. W każdym razie zwłoka była dobrowolnem skazaniem się na śmierć. W Bolonji, wśród otaczających go Wandalów, Gotów, Alanów, których podżeganiem wzgardził, nie był już życia pewny. Więc po kilku dniach ruszył do Rawenny. Wiodła go tam ostatnia chyba iskra nadziei pogodzenia się z cesarzem, albo może już sama tylko rozpacz. W Rawennie schronił się zrazu w kościele. Już nad ranem stanął u wrót wysłannik cesarski z garstką żołnierzy. Na zdradliwą obietnicę, że cesarz chce się tylko osoby jego upewnić, wyszedł Stilicho za próg kościelny. W mgnieniu oka otoczyli go żołnierze i odczytano mu wyrok brzmiący za zdradę państwa na śmierć. Rzymski spokój, z jakim szedł na miejsce stracenia i stanął na rusztowaniu, był jakoby świadectwem wierności dochowanej Rzymowi.

Różnorodność sądów współczesnych autorów o Stilichonie, oblokła jego postać jakąś mgłą tajemnic i zagadek. W przeciwieństwie do bezwzględnych panegiryków Klaudjana, podejrzawali go autorowie chrześcijańscy o cichą opiekę nad zanikającym pogaństwem, upatrywali w nim pogańscy pisarze ukryte narzędzie szczepów barbarzyńskich, z których pochodził, nienawidzili go Grecy, jako nieprzyjaciela Wschodu. Ale upadek jego jest w istocie tylko jednym z tych powtarzających się w historii tylokrotnie przykładów, jak społeczeństwa, niezdolne już do życia, nie znoszą w swoim łonie wystrzelającej ponad marny poziom wyższości. Miarą Stilichona, tego bądź co bądź ostatniego wodza i męża stanu rzymskiego, probierzem jego wartości, są tragedje Rzymu, które poszły w ślad za tragedją jego własną.

Bo już w trzy miesiące po jego straceniu stał Alaryk pod murami wiecznego miasta, drżącego teraz o tę swoją »wieczność«, której od czasów Hannibala nie groziło równie wielkie i bliskie niebezpieczeństwo. Świeżo właśnie, po zwycięstwie Stilichona pod Pollencją, wysławiał był ją w szumnym wierszu Klaudjan, sami zaś cesarzowie tej epoki dawali jej niejako oficjalne znamie, nazywając w dekretach i ustawach coraz rzadziej Rzym Rzymem, a jakby dla dodania drugim, może i sobie

samym otuchy, pisząc wszędzie *urbs aeterna*. Teraz, z uświęconych tą wiecznością szczytów, bo z dachów świątyń kapitolinских, spoglądali Rzymianie z bijącym sercem na zapalające się wokół miasta ognie obozu Gotów. Złowrogie światła mnożyły się w miarę, jak przywódcy obcych hufców, dotąd sprzymierzeni lub najęci, ale którym wrogowie po straceniu Stilichona wymordowali rozsiadłe po miastach italskich rodziny, jęli rzucać służbę rzymską, przechodzić tłumnie pod znaki Alaryka i ściągać z wojakiem z odległych nawet załóg do jego obozu pod Rzym. Cesarz krył się daleko w obronnej Rawennie, bo nie miał sił na ratowanie stolicy. A w stolicy wzrastał się lęk, nieład i szerzył znow zabobon: sprowadzono z Etrurji wróżbitów, którzy obiecywali ściągnąć ogień niebieski na obóz nieprzyjaciół, lecz żądali, aby wpieryw wznowiono krwawe ofiary na Kapitolu. Wobec surowych zakazów nie śmiał senat wskrzeszać zamarłego obyczaju. Wybrał sobie natomiast inną niewinną ofiarę. W mieście żyła Serena, wdowa po Stilichonie; przypominano teraz, jak przed kilkunastu laty, gdy Stilicho był wszechwładny, zerwała była swywołnie w świątyni Cybeli drogi naszyjnik z posągu bogini i wśród przekleństw pilnującej przybytku starej Westalki zawiesiła go sobie ku zgorszeniu ludu na szyi. Do skarg o świętokradztwo dodawano obecnie nowe podejrzenia: rozgłaszano wieści, że Serena jest w zмовie z Gotami i Alarykiem. Po straceniu męża, następnie syna Eucheriusa przyszła więc kolej na nią. Senat zawyrokował śmierć, a do chóru potępienia nieszczęsnej przyłączyła podobno głos swój i bliska krewniaczka, Galla Placydja. Wedle okrutnego starego obyczaju rzymskiego — *more maiorum* — uduszono Serenę w więzieniu.

Ale lud rzymski wnet spostrzegł, że ofiara nie odwróciła gniewu bogów. Alaryk zajął drogę do Ostji i począł wygładzać miasto. Ludzie ginęli z niedostatku, a że nie było gdzie grzebać umarłych, bo podmiejskie cmentarze były w rękach Gotów, do głodu przyłączyły się zaraza i mór. Nie można już było zwlekać i senat wysłał do Alaryka posłów. Po długich targach obiecał zwycięski najeźdźca odstąpić od oblężenia, jeżeli mu miasto wyda trzy tysiące funtów złota, trzydzieści tysięcy srebra, cztery

tysiące sukien jedwabnych i tyleż sztuk szkarłatu, wreszcie ile miano w zapasie korzeni wschodnich. Znamienny to wybór dla tych nawpół dzikich ludzi z północy, których tak olśniewał zbytek Rzymu, iż spodziewali się ze strzępem jedwabiu lub rąbkiem purpury posiąść i jego majestat. »Cóż zostanie Rzymianom?« — pytali zatrwożeni twardemi warunkami wysłannicy senatu. — »Życie« — odpowiedział im krótko Alaryk. Tym okupem przecież, który ogołocił świątynie rzymskie z tyłu drogich skarbów, nie okupił sobie Rzym ani spokoju, ani przerwy w upokorzeniach. Bo Honorjusz nie mógł stawić czoła Gotom, a rząd w Rawennie nie rozumiał konieczności kompromisów, na których drogę prowadził go był Stilicho. Stilichonowego dowództwa nad wojskami zachodniego państwa dla siebie, prowincji noryckiej dla swego szczepu żądał teraz odciągający do Toskanji Alaryk. Z Rawenny nadeszła odmowa. Więc znów, już następnego roku, powrócili Goci pod Rzym. Zastępy ich były nawet jeszcze liczniejsze, bo szwagier Alaryka, Ataulf, przyprowadził mu nowe posiłki z północy, a zresztą niewolnicy z całej Italji, należący do szczepu Gotów lub plemion pokrewnych, zbiegali się z wszystkich stron do jego obozu. Tym razem gniew Alaryka zwrócił się wprost przeciw osobie Honorjusza. Sam o diademie marzyć nie śmiał, ale zmusił senat do wyniesienia na tron cesarski prefekta miasta, Attalusa. Pod groźbą nowego wygłodzenia Rzymu zgodzili się senatorowie na wszystko, a najbardziej oddani z nich dotąd Honorjuszowi przesadzali się teraz w uniżoności wobec Alaryka i jego ukoronowanego wybrańca. Alaryk jednak zdawał się już tylko igrać z losami rozprzężonego państwa, bo prędko poświęcił Attalusa i dał mu równie nagle upaść, jak go był nagle wywyższył. A gdy po raz trzeci wznowione z Honorjuszem układy spelży na niczem, w pamiętnym roku 410 po raz trzeci, tym razem rozstrzygający, uderzył na Rzym.

Senat rozkazał zamknąć bramy miasta, bo choć nie wierzył nikt w skuteczność obrony, chciano przynajmniej opóźnić klęskę. Tylko władze miejskie nie były już pewne ludu. Obawiano się przedewszystkiem niewolników, którzy w obozujących pod murami miasta pobratymcach i ich dzielnym królu witali

radośnie mścicieli krzywd tyłu uciśnionych pokoleń. Jakoż istotnie zdrada wydała Rzym oblegającym: 24 sierpnia rozwarły się wrota jednej z bram wschodnich i w mgnieniu oka fala barbarzyńców zalała miasto. Alaryk, sam chrześcijanin, wydał rozkaz, aby szanowano bazyliki św. Apostołów, gdzie wielu wiernych znalazło schronisko; zresztą przez trzy dni pozwolił żołnierstwu łupić i plądrować wszędzie. Na wstępie pożar objął wzgórze Kwirynału: od podpalonych przez Gotów w pobliżu bramy Salaryjskiej budynków zajęły się ogrody Sallustjusza i pałac jego, zbudowany tam niegdyś ze skarbów zagrabionych w Numidji. W świetle złowrogiej luny współzawodniczyli w grabieży ze zwyciężskimi hordami niewolnicy rzymscy, którzy znając dokładnie wszystkie schowki i skrytki swoich panów, załatwiali teraz z nimi mściwe obrachunki. Kto mógł, wykradał się potajemnie z miasta i uciekał. Wielu uchodźców nie oparło się jak o nadmorskie miasta greckie, o wybrzeża afrykańskie, nawet o daleką Palestynę. Ale pewną liczbę znamienitszych mieszkańców Rzymu wziął Alaryk jako zakładników do niewoli, a pomiędzy nimi była i dostojna siostra cesarska, Galla Placydja. Z uchodźcami ze stolicy rozchodziła się szybko wieść o jej pogromie w najodleglejsze okolice. I wielbicieli i wrogów Rzymu przejmowała groza, jak gdyby żywiołowy jakiś przewrót wytrącił był świat z odwiecznie zakreślonych mu torów. Bo od ośmiu wieków, od legendarnego napadu Brennusa i Gallów na Rzym, nigdy stopa zdobywcy nie dotknęła uświęconej jego ziemi i nietykalność wiecznego miasta wyrosła i zamieniła się w dogmat wśród podbitych ludów, wpatrzonych z podziwem w jego nienaruszony majestat. »Zgasła pochodnia świata — wołał w dalekiej swej pustelni Betleemskiej tak ostro nieraz chłoszczący Rzym i jego mieszkańców św. Hieronim — a z tem jednym miastem, które padło, zginął ród ludzki... Więc boleść łamie mi głos, a łkanie zagłusza słowa«.

I rzeczywiście, choć późniejsze napady Genseryka lub Witi-gesa bardziej zniszczyły stolicę świata i więcej w niej jeszcze spiętrzyły gruzów, pierwsze to zdobycie przez Alaryka w r. 410 było dla jej losów rozstrzygającym, oznaczało naprawdę koniec

starożytnego Rzymu. Nietylko bowiem prysła jak bańka mydlana owa niezłomna dotąd wiara ludów w jego niepokonalność, ale jednocześnie zatonać miała na zawsze nurtująca pomimo wszystkiego jeszcze, a teraz, w takim potopie, wynurzająca się w rozpaczliwej walce o życie po raz ostatni z toni, stara idea pogańska. Bo znów chrześcijanom, zemście dawnych bogów za doznaną od nich wzdargę i poniżenie, przypisywały niedobitki pogańskie pogrom Rzymu. Wszakże już w III wieku mawiał Tertuljan, że każde niepowodzenie, każdy przypadek szedł zawsze na karb wyznawców nowej wiary, że »czy wylał Tyber, czy Nil wylać nie chciał, czy susza jałowiła pola, czy ziemia się zatrzęsła, czy nastał głód, czy zjawił się mór, zawsze jeden tylko podnosił się okrzyk: chrześcijan na pastwę lwom!« Najgłośniejsze skargi wychodziły tym razem z Afryki, gdzie najwięcej względnie zachowało się pogan, ale i wśród chrześcijan nie brakło takich, którzy poczynali chwiać się i wątpić w zbawczą moc nowej wiary, skoro nie potrafiła zbawić Rzymu. Z tą chwilą rozpoczyna się ostatnia walka dwóch religij, dwóch światów i epok, ale nierówna, bo naprzeciwko obrońców dawnego porządku, czcnych retorów i sztucznych dialektyków, staje najgłębszy umysł ówczesnego świata: Św. Augustyn chwytła za pióro i przez lat trzynaście, prawie do schyłku życia, w dwudziestu dwóch księgach traktatu swego *De civitate Dei* rozkłada cegielkę po cegielce z walącego się gmachu starożytnej teozofji, a na to miejsce stawia twierdzą nauki chrześcijańskiej. Dwie miłości zbudowały dwa miasta; jedno zamieszkują ci, którzy żyją wedle ciała, drugie ci, którzy żyją wedle ducha; tam miłość własna, posunięta aż do wzdargzenia Bogiem, tu miłość Boga, prowadząca aż do wzdargzenia sobą samym. Pierwsza, to *civitas* widoma, ziemska, która zginąć może, jak świadczy klęska Rzymu; druga, to *civitas* niebieska, niedostrzegalna dla ludzkiego oka, ale która nigdy nie przeminie. Z tej myśli wysnuwał autor cały swój system tej pierwszej filozofji dziejów, a obejmując orlim wzrokiem przeszłość i przyszłość, wskazywał, że nie opiece rozwiązłych swych bogów, lecz własnym cnotom zawdzięczali starzy Rzymianie szczęście i chwałę, sobie samym i przedewszystkiem

Bogu, Bogu chrześcijan, który w niezbadanych swoich wyrokach tak szczytne Rzymowi wyznaczył miejsce na świecie i tak wyjątkowe zgotował mu losy. Czyż nie brzmi w tych słowach jakby zapowiedź, że wieczność Rzymu przetrwa załamaniem się starożytnego świata, nienaruszona, bo na innych odtąd, duchowych podwalinach oparta, na których, jak na opoście — *super hanc petram...* — wznosić się i rozwijać *civitas Dei* będzie? Na wywody św. Augustyna nie odpowiedział już żaden głos pogański: walka była skończona i wygrana chrześcijan zupełna. Kiedy więc Alaryk po sześciodniowym pobycie w Rzymie opuszczał ograbione miasto i ruszał z obladowanymi łupem wozami na południe, zdawało mu się zapewne, że zabiera ze sobą tylko skarby i klejnoty bogów. W istocie uprowadzał z Rzymu, i to bezpowrotnie, starych tych bogów duszę.

Z taborem tych wiecznie wędrujących barbarzyńców jechała teraz za zwycięzcą, jako łup jego najcenniejszy, córka Teodozjusza, Galla Placydja. Łatwo odgadnąć, co się dzieć musiało w duszy dumnej księżniczki. Wychowana niegdyś na dworze bizantyńskim, w miękkim jego przepychu i zbytkach, pamiętała chwilę największej chwały swego rodu, kiedy po zwycięstwie nad Arbogastem i Eugenjuszem połączył był Teodozjusz znowu Wschód ze Zachodem i rząd nad całym światem we własne ujął dłonie; potem, w Rzymie, wśród zasępiającego się widnokręgu, zaznała jeszcze trochę dni słonecznych, gdy po zwycięstwach Stilichona nad Gotami brat jej, Honorjusz, święcił triumf w stolicy, a lud stołeczny tak radośnie witał plemię Teodozjusza; patrzyła później na upadek i zgon tragiczny Stilichona, wmieszana podobno w spisek na życie wdowy po nim, nieszczęśliwej Sereny; dzieliła wreszcie trwogi i niedole Rzymu z ostatnich lat, kiedy fale barbarzyńskie były coraz gwałtowniej o mury miasta i rozlewały się szerokim strumieniem po całej Italji. Teraz wśród hord koczujących, po gruzach i zgłiszczach, które znały ich pochód, szła wyrwana z gniazda w nieznaną jej stronę i w ciemną przyszłość, strzeżona na przedmiot długich targów w ciągu ostatnich zmagani się upadającego cesarstwa z przemocą najeźdźców. Tylko na te młode wyobraźnie nowych

ludzi działał jeszcze majestat rzymski i dostojność krwi cesarskiej tak silnie, że otaczali oni brankę największym uszanowaniem, składali jej hołdy, do jakich dwory z okresu upadku przyzwyczały imperatorskie swoje rody. Choć już ci pierwsi najęźdźcy wstrząsali tak gwałtownie budową państwa rzymskiego, że podcinali mu naprawdę warunki życia, to przecież nie roilo im się jeszcze w głowach, żeby ją jednym zamachem zburzyć i inną na jej miejsce stawić można. Dążeniem ich było zrazu raczej zdobyć dla siebie przynależne, przewodnie nawet miejsce, ale w istniejącym, a przez tylowieczną przeszłość uświęconym tworze cesarstwa. Uczeń św. Augustyna, historyk Paulus Orosius, opisuje, jak będąc pewnego razu u św. Hieronima w Betelem, spotkał tam znakomitego obywatela rzymskiego z południowej Galji, który przybył w pielgrzymce do Ziemi Świętej. Pielgrzym ten opowiadał, jak zaprzyjaźniony z nim następca Alaryka, Ataulf, określał mu kiedyś swe zamiary: »Założyłem był sobie — mówił — wymazać z dziejów świata imię rzymskie, ażeby ziemia Rzymian stała się państwem Gotów i Gocja była tem, czem była przedtem Romanja — *ut Gothia quod Romania fuisset fieret* — a ja sam tym, kim był niegdyś August. Skoro jednak spostrzegłem, że Goci dla srogiej swej dzikości — *propter effrenatam barbariem* — nie potrafią słuchać praw, a państwu bez prawa żyć nie wolno, bo nie byłoby natenczas państwem, inny sobie wytknąłem cel: zdobycia sławy u potomnych wskrzeszeniem, skoro zmienić jej nie mogłem, świetności rzymskiej«.

Czy ambicje Alaryka poza te sięgały granice, kiedy ciągnął z taborem wzdłuż drogi Appijskiej na południe, za słońcem, które jak magnes ciągnęło zawsze coraz dalej tych synów mrocznej północy? Podobno marzył już o zdobyciu dla siebie Afryki, — cel, którego dopiero w dwadzieścia lat po nim innego szczepu przywódca miał dopiąć. Ale jakiegokolwiek były jego zamiary, pokrzyżowała je śmierć, która zaskoczyła na krańcach Italji, wkrótce po pogromie Rzymu, jego zdobywcę. Ażeby nie zostawić zwłok ulubionego wodza w dalekiej ziemi bez straży, wstrzymali Goci na chwilę nurt rzeki Busento pod Cosencą i w grobowcu zbudowanym na dnie rzecznej koryta złożyli szczątki Alaryka; za-

jętych przy sztucznej budowie niewolników wycięli w pień, aby nikt nie zdradził miejsca, i spuszczone napowrót do starego łożyska wody strumienia ukryły tajemnicę grobu na wieki. Obrany przez Gotów na następcę Alarykowego szwagier jego, Ataulf, przystąpił odrazu do wykonania pojednawczych swych zamiarów i wdał się w nowe układy. Wprawdzie opowiada złośliwy Procopius, że gdy Honorjuszowi doniesiono o wzięciu Rzymu, zląkł się, rozumiejąc, że chodzi o ulubionego gołębia, którego *Roma* nazywał, a uspokoił dopiero na wytłumaczenie, że chodzi o stolicę; ale pomimo tej nieprawdopodobnej opowieści, świadczącej w każdym razie znamienne o opinii, jakiej ten cesarz u współczesnych zażywał, miarą wrażenia pogromu Rzymu na dwór w Rawennie była ustepliwość, okazana przy rokowaniach z Ataulfem: oddanie mu dowództwa nad wojskami cesarskimi i polecenie oswobodzenia Galji od rozszarpujących ją pomiędzy sobą barbarzyńców, lecz żądanie opuszczenia przez Gotów granic Italji było tych nowych układów warunkiem. Ataulf stawiał wszakże i trzeci warunek przymierza; jakby na przykład dla tylu późniejszych zdobywców, zapragnął ściślejszym związkiem z domem cesarskim uświetnić własne wywyższenie, »ażeby — jak mówi Jornandes — na wieść o takim związku, zespalającym Gotów z Rzymianami, tem większy padł na ludy postrach« — *ut gentes hac societate comperta, quasi adunata Gothis Republica, efficacius terrerentur.* — Poprosił o rękę pięknej siostry Honorjusza, którą w spadku po Alaryku trzymał w obozie. Honorjusz odmówił, ale sama Galla Placydja inaczej o własnym postanowiła losie. Może w ambitnem wyrachowaniu lepiej pojęła od brata wagę skojarzenia się z nowym żywiołem siły, która podbijała świat, a może przemówiły wiecznie ludzkie uczucia i zniewolił ją urok dorodnego rycerza z północy, jakim był, wedle świadectw współczesnych, Ataulf. Oddała mu rękę i ślub odbył się według niektórych kronik jeszcze zanim Goci opuścili Włochy, we Forum Cornellii, czy we Forum Livii, w dzisiejszej Imoli albo we Forli. Gody weselne święcono atoli dopiero za przybyciem do Galji, w południowej jej stolicy Narbo, dzisiejszej Narbonne.

Ataulf nadał temu obchodowi zamię prawie symboliczne złączenia obu plemion, a wszystkie szczegóły uroczystości składały się na apoteozę rzymskiego pierwiastku. Na podwyższeniu siedziała w stroju cesarskim córka Teodozjusza, a obok, niżej, w rzymską togę przybrany, król Gotów. Pięćdziesięciu urodzinych młodzieńców w jedwabiach niosło w rękach składane przez Ataulfa Galli Placydji dary; były to czarki pełne złotych monet, albo diamentów i pereł, może zrabowanych kiedyś w ojczyźnie dostojnej oblubienicy, w Rzymie. Muzykantów wiódł ten sam Attalus, którego był swego czasu Alaryk na tronie posadził, a który w ciągłych metamorfozach później jeszcze raz oblec miał purpurę. Z dumą uczestniczyli barbarzyńcy w tem święcie zbratania się z Rzymianami, bo pasowało ich to niejako na równorzędnych członków owej, tak na wyobraźnię młodszych szczepliów działającej, tak im imponującej *romanitas*, które to słowo, ukute przez Tertuljana, było naprawdę synonimem tego, co dziś się nazywa cywilizacją. Na świt nowej doby wyglądał solenny obchód pomieszania się obu krwi, znamiennejszy niż uroczystości, które w tych samych latach urządził Honorjusz w Rzymie, kiedy przy sposobności opuszczenia Italji przez Ataulfa i Gotów, później po poskromieniu zbuntowanego namiestnika Afryki, Herakljana, wśród dymiących nieledwie jeszcze zgłiszczów zdobytej przez Alaryka stolicy, dla łudzenia drugich i samego siebie, tanie w niej święcił triumfy. Zresztą, jak słusznie zauważono, związek Galli z Ataulfem przeszedł do tradycji sentymentalnej ludu i zapłodnił literaturę rycerską wieków średnich w tych południowych okolicach dawnej Galji. Bo ani epoka Merowingów ani Karolingów nie wykazuje podobnego związku pięknej branki z półdzikim zdobywcą, a motyw ten powtarza się przecieź często w romansach średniowiecznych.

Szczęśliwy acz krótkotrwały okres rozpoczynał się w życiu Galli Placydji. Ten sam pielgrzym do Ziemi Świętej z Narbonne, który dzielił się zwierzeniami Ataulfa z św. Hieronimem, opowiadał według Orosiusa, jak chlubne Ataulf małżonce wystawiał świadectwo, »iż przedewszystkiem wpływem i namową onej niewiasty o bystrym umyśle, a uczciwej wierze, do wszystkich do-

brych zarządzeń przysposobionym bywał«. Ale choć często o pokojowem swem usposobieniu mawiał, natura wojownicza, przyzwyczajenie od lat najmłodszych do zbrojnych po świecie wędrówek, wreszcie zleczone mu przez Honorjusza uśmierzenie Galji zmuszały go do ciągłych walk bądź z obcemi szczepami, które pustoszyły te rzymskie prowincje, bądź z samozwańczymi imperatorami, jacy w tych odległych granicach stawali kolejno na czoło buntujących się przeciwko dworowi w Rawennie legjonów. Zwycięstwo odniesione nad dwoma z nich, rodzonymi braćmi, Jovianusem i Sebastjanem, których głowy Ataulf szwagrowi, a prawowitemu cesarzowi obiecał, uspokoiło na chwilę Galję. Ale stosunki z Honorjuszem poczynaly się mącić i wkrótce pod naporem wojsk cesarskich, prowadzonych przez dzielnego Rzymianina, Constantiusa, cofnął się Ataulf ku podnóżom Pirenejów, a po przebyciu ich pasma zdobył Barcelonę. Tutaj opuściło go wierne mu dotąd szczęście. Najpierw stracił urodzonego mu z Placydji małego syna, któremu, jakby na ambitne stwierdzenie wobec bezdzietnego cesarza prawowitej filjacji, nadali byli rodzice uświęcone w rodzie imię Teodozjusza. Potem, już w roku 416, i jego samego dosięgła śmierć; przyjęty niebacznie w służbę towarzysz jednego z wodzów barbarzyńskich, którego Ataulf niedawno stracić rozkazał, zamordował go przez zemstę na zamku w Barcelonie. Popłoch wywołany jego zgonem wśród Gotów ciężko zaważył na losach Placydji. Bo obwołany na miejsce jej małżonka królem Sigerich, z obcego plemienia, a zaciekle wróg rodu Alaryka, skorzystał z wyniesienia, żeby ją sromotnie poniżyć: wespół z innemi Rzymiankami prowadzono ją pieszo wśród triumfalnego pochodu nowego wybrańca przed jego koniem, poczem ją Sigerich z królewskiego pałacu wygnał. Na szczęście dla niej rychła śmierć Sigericha, który po kilkodzielnym tylko panowaniu sam padł z ręki mordercy, i wyniesienie przez Gotów brata Ataulfa, Wallji, na tron, ocaliły ją od dalszych prześladowań i poniewierki.

Ale na obcym już teraz dla niej dworze nie było dla wdowy po Ataulfie miejsca i Honorjusz coraz natarczywiej nاپierał na nowego króla Gotów o wydanie mu siostry. Za dostar-

czoną Gotom przez rząd rawennacki pszenicę odzyskała Galla Placydja wolność i prawo powrotu na dwór w Rawennie. Prawa stanowienia o swoim losie nie odzyskała jednak w pełni, bo wkrótce po powrocie zmusił ją Honorjusz do wstąpienia w nowe związki ślubne z dowódcą wojsk cesarskich, Constantiusem. Był to Rzymianin z rodu, który w epoce upadku Rzymu i zwyrodnienia Rzymian zachował był coś z dawnej rzymskiej dzielności i hartu. Honorjuszowi zależało szczególnie na tem, ażeby szczęśliwego wojownika w walkach z uzurpatorami w Galji, a przede wszystkim wodza zażywającego miru i wzięcia u żołnierstwa, ściśle przykuć do tronu. Węzłem zaś najpewniejszym zdawała mu się ręka siostry. Za przyjęciem do rodziny cesarskiej spadły zczasem i inne jeszcze na Constantiusa dostojeństwa: naprzeciw podnoszącym wciąż głowy w odleglejszych mianowicie prowincjach samozwańczym imperatorom, nadał mu Honorjusz tytuł Augusta i podzielił z nim rządy. Tak więc Gallę, pozbawioną przez śmierć pierwszego męża panowania nad państwem Wizygotów, które brat jego, Wallja, zakładał sobie właśnie ze stolicą w Tolosie, i które już tylko tak cienka nić zwierzchnictwa rzymskiego wiązała z cesarstwem, stawiały teraz drugie, narzucone jej śluby na czoło samego cesarstwa. Ale już w siedm miesięcy po objęciu współrzędów umarł Constantius, a stosunek serdeczny pomiędzy bratem a siostrą prężyć się zaczął. Powtarzające się kłótnie Honorjusza z Gallą przebijały mury pałacu i echo ich brzmiało na ulicy, a oddani dawnej swej królowej Goci ze załogi rawennackiej wszczynali burdy i bójki uliczne z legionistami rzymskimi, stronnikami cesarza. Każdy niemal dzień w Rawennie znaczył się rozruchem i rozlewem krwi, aż zniecierpliwiony i zalekziony wzrastającym w mieście nieporządkiem Honorjusz wygnał siostrę i odesłał ją z dziećmi, zrodzonymi przez nią w drugim małżeństwie, Honorją i Walentyjanem, na dwór w Konstantynopolu, na którym pędziła kiedyś lata dziecinne.

Na tronie wschodnim siedział od śmierci Arkadiusza, czyli od r. 408, syn jego, noszący imię dziadka, Teodozjusz II. Ale z rozumu i dzielności wielkiego przodka odziedziczył niewiele

więcej od innych męskich potomków Teodozjusza. Nie były to złe ani zepsute natury, jakich tyle wyhodowały w rodach cesarskich bądź przemoc rzymska, bądź przewrotność bizantyńska. Ciężyło na nich przecież smutne zamię epigonów, brak woli, bierność i apatja, jakby siła krótkotrwałego względnie rodu starczyła była na wydanie z siebie jednej tylko tęższej męskiej postaci. Żaden z nich nie dorastał w każdym razie zadaniom rządzenia światem w tak trudnych, jak ówczesne, warunkach. Imię Teodozjusza II związało się jednakowoż z dziełem, które mu zaszczyt przynosi, z wydanym w r. 438 Kodeksem Teodozjańskim. Zbiór ten, zawierający wszystkie rozporządzenia cesarskie od czasów Konstantyna Wielkiego, wnosił ład i system w chaotyczne przedtem pomieszanie starych ustaw z nowymi dekretnami, a obowiązując narówni Wschód i Zachód, stwarzał aż do czasów Justynjana i Justynjanowego Kodeksu podstawę prawną dla całego cesarstwa. Jest zaś uderzającym, że właśnie wśród bezprawi doby upadku odczuto potrzebę zebrania, przechowania i przekazania potomności tego bodaj najdroższego skarbu, jaki starożytność rzymska światu pozostawić miała: prawa rzymskiego. W parze z tym testamentem prawnym dla późniejszych wieków szło nie mniej doniosłe oświadczenie tego samego Teodozjusza II i Walentynjana III, »że i książęta związani są prawem«, wyznaczenie zasady, na której się oparł późniejszy porządek świata.

Tylko dociec trudno, ile w tem było Teodozjusza zasługi własnej, a ile przyznać jej trzeba wpływowi i natchnieniu siostry jego, Pulcherji. Bo istotnie, i to przez lat czterdzieści, sprawowała Pulcherja we wschodniem cesarstwie rządu: najpierw, już w szesnastym roku życia, mianowana Augustą, z tytułem opieki nad nieletnim bratem; potem w charakterze jego współregentki; wreszcie po śmierci Teodozjusza II, wspólnie z zaślubionym przez nią późno starym wojownikiem Marcjanem, jako cesarzowa, a pierwsza przez pretorjanów wyniesiona na tron kobieta. Czterdziestolecie jej rządów, to okres spokoju i ładu na Wschodzie, wyzwolenie władzy na ten przynajmniej czas z pod zgubnych wpływów rozpanoszonych u dworu eunuchów, z sieci ich wiecznych intryg i nieustannych knowań, okres wreszcie przezornej

polityki wobec okalających cesarstwo żelaznym pierścieniem barbarzyńców. Cnotą, rozumem, zdolnościami rządu wystrzeliła Pulcherja ponad całe pokolenie wielkiego Teodozjusza, była tego wzoru z rodziny najbliższą, a że posiadała i dzielność przodka, o tem świadczy dumna jej odpowiedź, dana u schyłku rządów żądającemu haraczu Attyli: »złoto mam tylko dla mych przyjaciół, a dla nieprzyjaciół żelazo«.

Gnana atoli przez całą swoją młodość z miejsca na miejsce Galla Placydja i teraz nie miała dłużej w Konstantynopolu zagodzić. Ambicja jej nie byłaby zresztą zniosła długo niedobrowolnego współżycia z inną, szczęśliwszą i stanowiskiem wyższą kobietą, jaką była jej bratanka Pulcherja. Dwór konstantynopolitański nie był bowiem nigdy uznał współrządów Constantiusa na Zachodzie, więc i wdowie po nim, choć przyjmowanej zaszczytnie jako córka i siostra cesarska, nie oddawano na Wschodzie czci przynależnej Auguście. Jako wyzwolenie przyjęła więc ona zapewne od Teodozjusza II rozkaz powrotu i objęcia rejencji na Zachodzie za syna, kiedy w kilka miesięcy po jej przybyciu do Konstantynopola nadeszła tam wiadomość, że w sierpniu 424 r. umarł cesarz Honorjusz. Od początku aż do końca epoki cesarstwa rzymskiego nie ustalona w niem nigdy wyraźnie zasada następstwa panujących, obieralność idąca na przemiany z dzieciznością, nagliły po każdym zgonie cesarskim do pośpiechu tych, którzy się ubiegali o purpurę. Tym razem taki pośpiech dla ratowania dynastji walentynjano-teodozjuszowskiej na Zachodzie w ostatniej jej latorośli męskiej, w małym synu Galli Placydji, był tem potrzebniejszy, że w Rawennie samowolnie ogłosił się cesarzem *primicerius* — generalny sekretarz — Joannes, który osobnem poselstwem odważył się nawet uwiadomić dwór w Bizancjum o wstąpieniu swoim na tron. Lądem i morzem ruszyły więc wojska wschodniego cesarstwa na Zachód, w celu poskromienia uzurpatora. Pamięć tej morskiej przeprawy Galli żyje zaś po dziś dzień w jednym z rawennackich pomników. Bo legenda mówi, że gdy niosący ją i Walentynjana okręt wśród burzy bliski już był zatonięcia, wezwała Galla Placydja o pomoc św. Jana Ewangelistę, ślubując, że wystawi mu kościół

na miejscu wylądowania: i oto blask rozproszył zmroki nocy, a u steru zajaśniała postać święta ewangelisty, który lekkim poruszeniem dłoni spokojnie skierował okręt przez wzburzone fale ku przystani, w pobliżu Rawenny. Już następnego roku rozpoczęła Galla budowę dziękczynnej świątyni, która przebudowana w XIV i po raz drugi w XVIII wieku, dochowała przecież w niejednym szczególe, jak w dźwigających strop marmurowych kolumnach, ślady pierwotnej swej wspaniałości.

Nie było to jednak pomysłem dla cesarstwa, że na tak wstrząśniętym teraz już tronie zachodnim pięćioletnie zaledwie zasiadło chłopię. Matka w tym samym jeszcze roku śmierci Honorjusza zawiozła je do Rzymu, aby tam zarzucić purpurę na te dziecięce barki. Bo mimo stopniowego zaniku stołeczności, jeden Rzym mógł nadać jeszcze takiej ceremonii znaczące piętno. Ale tym razem dopełnił jej Bizantyńczyk, Helion, jako pełnomocnik Teodozjusza II. Napróżno też Rzymianie starali się zatrzymać nowego cesarza wraz z opiekunką w Rzymie. Pamiętająca zbyt dobrze Alarykowe najazdy, wołała Galla Placydja cofnąć się z synem do bezpieczniejszej Rawenny, aby stamtąd sprawować trwające aż do śmierci, dwudziestopięćioletnie rządy. Tak więc Wschód pozostawał pod wpływem Pulcherji, Zachód pod opieką Galli Placydji. A choć rządy kobiece oznaczały tu, jak prawie zawsze w historii, stępienie hartu i energii u mężczyzn, to wywyższenie takie niewiast świadczyło tym razem i o czemś innym jeszcze: o zwycięstwie podnoszącej kobietę idei chrześcijańskiej. Starożytność rzymska szanowała w niej bowiem dotąd co najwyżej płodność. Dopiero chrześcijaństwo z przechodzącym z dogmatu w obyczaj kulmem Marji przyznało jej i godność.

Pierwsze zadanie Galli, poskromienie uzurpatora Joannesa, poszło za pomocą wojsk cesarstwa wschodniego łatwo i samozwańczy cesarz wcześniej zapłacił na rusztowaniu w Akwilei swoją zuchwałość. Niestety nie potrafiła Galla Placydja, tak jak to umiała tak dobrze krewna jej Pulcherja, trzymać się zdala od intryg dworskich, lub tłumić je w zarodku, a wynikły z nich konflikt między dwoma wodzami, którzy główne dźwigali w państwie odpowiedzialności, pomścił się srodze na państwie. Aëtius,

dowodzący wojskami na zachodzie, i Bonifacius, namiestnik i obrońca prowincyj afrykańskich, równi byli sobie dzielnością, doświadczeniem i zasługą. Tylko pierwszy łączył z zaletami skłonność do intrygi i zawiść. Korzystając z własnego pobytu w Rawennie, a z nieobecności odgradzonego morzem od dworu współzawodnika, wmówił w cesarzową, że Bonifacius gotuje się w Afryce do buntu, a równocześnie donosił Bonifaciusowi, że dwór w Rawennie poprzysiął jego zgubę, i radził ratować się oporem. Zdradliwe podszepty odniosły na obie strony skutek i Bonifacius zwrócił się podobno o pomoc do koczujących w południowej Hiszpanji, a chciwie spoglądających ku wybrzeżom afrykańskim, Wandalom. Na czele tego szczepu stanął był właśnie Genseryk, którego imię wraz z imieniem Alaryka, a potem Attyli, w złowrogiej trójcy zapisać się miało w dziejach zachodniego cesarstwa i Rzymu. Groźny jego wizerunek tak kreśli stary dziejopis Gotów, Jornandes: »Genseryk był wzrostu pospolitego, wskutek spadnięcia z konia kulawy, zamknięty w sobie i małomówny; znysłowością gardził, w gniewie szalał, a chciwy jak nikt, umiał dziwnie przemyślnie rozdzwajać narody, rzucać wszędzie posiew niezgody i mieszać trucizny nienawiści«. Z tym najeźdźcą zawrzała dziewięcioletnia wojna w Afryce. Pogodzony z dworem w Rawennie za wyjaśnieniem nieporozumień, Bonifacius podjął się bohaterskiej obrony, ale Genseryk zdobywał pięć po pięci ziemi nieszczęśliwej prowincji i kruszyło się w kawały wielkie dzieło Scypjonów pod wspólnym naporem błądych wojowników z północy, którzy od dwudziestu lat dopiero poczęli pchać się z równin nadelbiańskich na dalsze i coraz dalsze południe, i łączących się tam z nimi śniadych Maurów, opuszczających tłumnie koczownicze obozy na pustyni lub schroniska w górach Atlasu, aby pod wodzą Genseryka dzielić się łupem rzymskim.

Na rok 429 przypada oblężenie przez Wandalów Hippony, a zadanie, które spełnia w tej chwili, w przeddzień śmierci, biskup tamtejszy, św. Augustyn, rzuca jasne światło na stosunek jego, jak i innych ówczesnych przewodnich duchów chrześcijańskich, do upadającego państwa. Ostatnią księgę *Civitas Dei* już

był zamknął, walkę zwycięską z pogaństwem stoczył i skończył wykazał, że Rzym, jak każda *civitas* ziemska, runąć może, ale nigdzie nie powiedział, że runąć musi, a teraz, w chwili klęski, budził wszędzie ducha i zagrzewał serca. W słynnym liście do Hesychiusa wywodził, że państwo rzymskie nie jest zgubione bez ratunku, że przeżyło i przeżyło już podobne chwile, kiedy prowincje buntowały się przeciw Rzymowi, a wróg deptał italską ziemię; a przecież wroga pobito, prowincje do posłuszeństwa zwrócono, granice ponownie zamknięto; czemuż więc to, co się już raz stało, nie mogłoby stać się po raz wtóry? Sam zawsze cesarzowi i cesarstwu wierny, czuwał teraz nad oblężonym miastem, zachęcał do obrony, podnosił ducha, krzepił i utrzymywał Bonifacjusza w posłuszeństwie i wytrwałości. Zdawało się, jakby w tych latach klęski powstał z grobu dawni prorocy Izraela i różne ich głosy szły znowu pomiędzy lud: ze smutkiem Jeremjasza zawodził dokońca w pustelni Betleemskiej zmarły na kilka lat przed temi wypadkami Hieronim nad ruiną rzymską; Augustyn wołał do zgonu o hart i męstwo, a w słowach jego brzmiał niby ów okrzyk Izajaszowy: *consurge populus meus, induere fortitudinem, consurge sicut in diebus antiquis...* Litościwe wyroki Opatrzności nie dały mu dożyć zdobycia Hippony. W trzecim miesiącu oblężenia umarł. Po kilku dalszych miesiącach padła Hippona, a po kilku latach, z wzięciem Kartaginy, cała prowincja afrykańska była w rękach Wandalów i dumny ze swych wojsk i floty Genseryk zwał się sam wyniosłe »królem na lądzie i na morzu«.

Tak więc strzepił się coraz bardziej ów purpurowy płaszcz, zawieszony teraz na ramionach córki Teodozjusza i jej syna. Cesarstwo zachodnie kurczyło się i zwężało do ciasnych granic samej prawie Italji. W południowej Galji i północnej Iberji rządzili już od roku 415 Wizygoci; wyżej, bardziej na północ, rozsiadali się na dobre Burgundowie i Franki; sąsiednią na wschód prowincję rzymską, dawną *Germania superior*, zajęli Alemanni; wyspy Brytanji, z których Rzym wycofał był już w r. 410 swoje legjony, po długich walkach pozostałych mieszkańców z północnymi Piktami i Szkotami zagrabiali prawem łupu dla siebie wezwani na pomoc przez Brytańczyków piraci z północnego

morza, z plemion Anglów i Saksonów; zachodnią Hiszpanję, potem Luzytanję załaził szczep Swewów, a parci coraz dalej przez Wizygotów na południe Wandalowie zdobyli teraz Afrykę. Jak znosiła te klęski dumna córka Teodozjusza, sięgająca pamięcią czasów chwały, kiedy ojciec stał na czele spojonego, nienaruszonego jeszcze w swych granicach państwa? Odpowiedź trudna, gdyż na tle przełomowych wypadków, jakie wywołały gminoruchy, zacierają się postacie pojedynczych tego dramatu aktorów, a loskot załamującego się starożytnego świata zagłusza ich głos. Alaryk, Genseryk, Attyla i inni barbarzyńscy wodzowie przybierają jakieś formy nadludzkie, niemal symboliczne, stają się jakby uosobieniem rozpętanych żywiołów, a zato po drugiej stronie ludzie zasuwiają się w mgłę i podobniejsi do cieniów tracą wyraźne kształty. Bo też ilekroć w ciągu dziejów Bóg składać się zdaje na chwilę cząstkę swej wszechmocy w ręce jednej uprzywilejowanej jednostki, czy jej Aleksander, czy Cezar, czy Napoleon na imię, dramat staje się zrozumiały dla ludzi, którym łatwiej w duszę ludzką wglądać. Kiedy natomiast działają masy, jak w czasie wędrówek narodów, reformacji, rewolucji francuskiej, lub w obecnej dobie, kontury ludzkie zacierają się dla oczu współczesnych, piętrzy się zagadka na zagadce, człowiek z trudem rozumie człowieka i błądzi po owych »niezbadanych drogach« — *viae investigabiles* — o których mówi Apostoł.

Tak błąkać się musiały prawdziwie rzymskie dusze w tej chwili przełomu. A choć skąpo stare kroniki o Galli Placydji piszą, to, co o niej zapisały, świadczy, że miała rzymską duszę. Bronić z powodzeniem państwa nie mogła, bo nie stało już na to samemu państwu sił: pierś obywateli italskich, ów puklerz z czasów rzeczypospolitej i z pierwszych wieków cesarstwa, nie zasłaniała już Rzymu. Miejsce rodzimych żołnierzy, wyzbytych hartu, stroniących od służby wojskowej, zajęli obcy żołnierze najemni, teraz każdej chwili gotowi przejść i przechodzący w istocie coraz częściej do szeregów naciągających z północy i ze wschodu braci. Wojska więc było mało, a na tem, które pozostało, nie było oparcia. Toteż nie miała Placydja czem

odeprzeć nawaly. Ale na wewnątrz, choć w tak ciasnych już granicach, umiała ona utrzymać powagę panującej. Dzieje jej następców, to kronika spisków, buntów, wydzierania sobie diadem i mordów. Na kartach jej dziejów niema krwawych plam. Spotkać się zato daje zarzut, że źle wychowała syna, aby go jak najdłużej zdala trzymać od władzy. Ale zrzucanie na rodziców odpowiedzialności za zbrodzenia dzieci, nadużywane w życiu prywatnem, jeszcze mniej miewa słuszności w historii, a już najmniej chyba w historii Cezarów rzymskich, gdzie wpływ pochlebczego dworu tak odmienne od ojcowskich często w synach urabiał dusze, gdzie Wespazjana synem był ponury Domicjan, a Marka Aureljusza zwyrodniały Kommodus. Walentyńjan III był słaby i miękki, jak słabem i miękkim było całe męskie potomstwo Teodozjusza, a ambicja przeszła i tym razem na kądziel, na siostrę jego Honorję.

Tajemnicą osłonięte są dzieje tej pięknej księżniczki. Aby jej nie dopuścić do wpływu i współrzędów, a jeszcze bardziej aby w jakim ambitnym zięciu nie znaleźć współzawodnika, chciała ją pono Galla Placydja poświęcić służbie Bożej i na klasztorne przeznaczyć życie. Ale córka nie nagięła się do woli matczyńskiej i wykryte miłości dziewczyny z pięknym dworzanim, Eugenjuszem, zniewoliły matkę do wysłania jej na cnotliwy dwór Pulcherji do Bizancjum. Tam jednak było jej w surowem otoczeniu tak duszno, że umyśliła zerwać zbyt ciasne pęta. Od kilku lat rozbrzmiewało już wszędzie groźne imię Attyli. Pod naciskiem Hunnów, którzy ruszyli z mongolskich stepów Azji w ostatniej ćwierci IV wieku na zachód, rozpoczęły się były wędrówki narodów. Długo koczowały te nowe, najdziksze z wszystkich hordy na wybrzeżach Czarnego Morza, aż im cesarzowie zaciągiem do wojska wskazali niebacznie dalszą drogę ku Zachodowi i jego skarbowi. Ostatnie lata życia i rządów Galli schodziły jej też w ciągłej trwodze przed grożącą z tej strony, nową na państwo napaścią, a nie bez zřęczności umiała oddalać złowrogą chwilę. Pomagał jej Aëtius, przywołany znów do jej boku, a znający dobrze Hunnów, pośród których spędził był lata wygnania czy niełaski. Wszystkie próby ratowa-

nia państwa rozbiły się przecież o przemoc Attyli. Już połączona flota rzymska i sprzymierzonych z Rzymem Wizygotów miała płynąć na wydarcie Wandalom zdobytej przez nich Afryki, kiedy układ zawarty między Attylą a Genserykiem zniweczył zamiary cesarzowej i Aëtiusa. A równocześnie rozszerzali Hunnowie granice swoje od Wołgi aż po Bałtyk i przygotowywali się coraz wyraźniej do uderzenia na cesarstwo. Pierwszy cios wymierzony był przecież z natury rzeczy na bliższe Bizancjum: zdobywcze hordy rozsiadły się po brzegach dolnego Dunaju i posunęły w ten sposób groźnie na zachód. Z tej właśnie chwili skorzystać musiała krnąbrna córka Galli Placydji, ażeby potajemnie obiecać swoją rękę, a z nią część patrimonjum cesarskiego, Attyli. Małżeństwo nie doszło do skutku i Honorja, zesłana za karę do któregoś z mniejszych miast włoskich, odpokutowała później niskim małżeństwem wygórowaną ambicję. Ale przez dłuższy czas była ta jej intryga niebezpieczną kartą w grze chytrego wodza Hunnów i wkraczając w r. 451 do Galji, żądał Attyla wydania mu księżniczki i jej posagu.

Nie dożyła Placydja zwycięstwa Aëtiusa, wspomaganego przez Franków i Wizygotów, nad Hunnami na Polach Katalońskich; nie dożyła przekroczenia przez tychże Hunnów w rok potem Alp, zburzenia Akwilei, a wyratowania Rzymu jakby cudem dzięki mądrym pośrednictwu papieża Leona Wielkiego; nie dożyła wreszcie zgonu nagłego Attyli, po którym świat na chwilę odetchnął, i rozpadnięcia się jego państwa. Ale knowania córki z Attylą rozpoczęły się jeszcze niezawodnie za życia cesarzowej i musiały być zgryzotą dobiegających kresu jej dni. Ostatni po niej ślad znajduje się w zachowanym nam opisie pobytu jej w r. 450 w Rzymie, oraz w znamienym liście, który pisała naówczas do bratanka, cesarza Teodozjusza II, do Bizancjum.

W lutym tegoż roku przybył Walentynjan III z matką i z małżonką, a córką Teodozjusza II, Eudoksją, do Rzymu. W dzień święta katedry św. Piotra, w którym w pierwszych czasach Kościoła obchodzono uroczystość prymatu rzymskiego, ruszyła rodzina cesarska z liczną świtą do bazyliki Księcia Apo-

stolów, aby w czasie liturgji złożyć na jego grobie ofiarę. W przemowie, odnalezionej niedawno, którą papież Leon I witał panujących, wskazywał on Rzymianom na podniosły widok »wielkich i dostojnych pątników, upadających w proch u grobu prostego rybaka, któremu Chrystus nadał kierownictwo pierwszego i największego na świecie miasta«, oraz »na berła monarsze, skłaniające się przed drzewem krzyża«. Następnie zaś w słowach przerywanych łzami zaklinał papież rodzinę cesarską, aby ratowała jedność Kościoła wobec grożącego już wtedy oderwania się Wschodu, który zalewała właśnie pod opieką Teodozjusza II nowa herezja Eutychesa; papież błagał więc o wstawiennictwo u cesarza wschodniego, ażeby jemu, biskupowi rzymskiemu, oddał przynależne mu rozstrzygnięcie sprawy i współdziałał w zwołaniu powszechnego soboru, dla przywrócenia pokoju chrześcijaństwu.

Owoc tych próśb papieskich, zachowany po dziś dzień list Galli Placydji do cesarskiego bratanka w Konstantynopolu, jest jakby testamentem córki wielkiego Teodozjusza. »Musimy — pisze ona — oddać temu miastu rzymskiemu, które jest panem świata, należną mu cześć; musimy prawo wyrokowania pozostawić Stolicy Apostolskiej, której dzierżący klucze niebieskie Apostoł nadał wśród biskupów przodownictwo«. W stwierdzeniu z takiego miejsca prymatu rzymskiego przekazywała bezwiednie spadkobierczyni tyłu Cezarów wielką spuściznę rzymską papieżstwu, które z chwilą załamania się starożytnego świata obejmowało istotnie rządy Rzymu i stało się rękojmnią owej jego wieczności, o jaką drżał zamierający duch pogański. Toteż z pomników tej epoki w Rzymie żaden nie przemawia wymowniej od wspomnianego już łuku triumfalnego w bazylice Św. Pawła za murami, gdzie na mozajkach, jakimi go przyozdobiła Galla Placydja, we współczesnym napisie widnieje obok imienia dostojnej fundatorki imię Leona Wielkiego. Złączenie imion jednego z największych papieży i ostatniej godnej przedstawicielki starożytnego Rzymu, nadaje tym murom jakieś osobliwe, symboliczne znaczenie, jakby łuku przymierza pomiędzy światem starożytnym a chrześcijańskim.

W tym samym roku 450, w którym pisany był ów list do Teodozjusza II, dnia 27 listopada umarła Galla Placydja w Rzymie. Z tą chwilą rozpoczyna się trwające jeszcze przez ćwierć wieku smutne i bezchwałebne konanie zachodniego cesarstwa. Szybko znika dynastia wielkiego Teodozjusza: prawie jednocześnie z Placydją umiera Teodozjusz II, a po nim w trzy lata siostra jego, Pulcherja, z którą wygasa starsza linja rodu na tronie wschodnim. Na Zachodzie wiedzie Walentynjan III przez pięć lat jeszcze swój marny żywot, znaczony gwałtami i wyuzdaniem. Własną ręką zabija w kłótni rozwielnionego zwycięzcę Hunów z Pól Katalońskich, Aëtiusa, potem sam pada od sztyletu spiskowców, nasłanych przez Petroniusa Maksimusa, który mścił się za uwiedzenie mu przez cesarza i pohańbienie małżonki. Maksimus z diademem cesarskim zabiera i wdowę po Walentynjanie, cesarzową Eudoksję, a owdowiawszy, zmusza ją, aby jemu, mordercy pierwszego jej męża, oddała rękę. Eudoksja przez zemstę przyzywa Genseryka, który ląduje we Włoszech, napada i plądruje przez dni czternaście Rzym. Z łupami rzymskimi uprowadzają Wandalowie cesarzową Eudoksję i dwie jej urodzone z Walentynjana córki, Eudocję i Placydję, do Afryki i tam wydaje Genseryk starszą księżniczkę za syna swego, Huneryka. Aëtiusa zabił Walentynjan, Walentynjana zabił Maksimus, Maksimusa zabił Ursus — taka kronika wypełnia ostatnie karty dziejów cesarstwa, podobniejsza do jakiejś potwornej księgi rodzaju, ale nie życia tylko śmierci. Ośmiu cesarzy zasiada jeszcze przez lat dwadzieścia z kolei na tronie, jednych wyznacza cesarz wschodni, innych sadza na tron i strąca z niego dowoli rozpanoszony w Rzymie dowódca najemnych wojsk, Swewijczyk Rycymer. Na chwilę pojawia się na tronie obok dzierżącego przelotnie władzę Olybriusa, zaślubiona mu ostatnia żeńska latorośl rodu Teodozjuszowego, młodsza córka Walentynjana III, Placydja. Wśród tych ciągłych zmian i przewrotów, niby drgań konwulsyjnych umierającego ciała, zacierają się majestat diademu, który tak długo działał jak hamulec czy wędzidło na ambicję najpotężniejszych nawet z pomiędzy barbarzyńców. Bez tragedji, pospolicie i marnie kończy się wreszcie wielki dramat cesarstwa rzymskiego: ostatniego z Cezarów,

Romulusa, zwanego dla chłopięcego wieku pogardliwie Augustulusem, strąca w roku 476 w Rawennie Odowaker, przywódca po Rycymerze germańskich rot na żołdzie rzymskim, z tronu, wyznacza mu, jakby ustępującemu ze służby urzędnikowi, pensję, odsyła go na wesołe wybrzeża neapolitańskie i sam się przez wojska królem obwołać każe.

Ale właśnie w tejże Rawennie, która patrzyła na sromotny koniec cesarstwa, pozostał pomnik wielkiego, dawnego Rzymu i majestatu Cezarów: grobowiec Galli Placydji. Przez cały ciąg panowania budowała ona chętnie i dużo. Z pałacu jej nie zostało przecież ani śladu, a z kościołów jedne uległy zupełnemu zniszczeniu, drugie tak przebudowano i przeistoczono w ciągu wieków, że mało zachowały z pierwotnych kształtów i ozdób. Tylko grobowiec, który przygotowała jeszcze za życia dla siebie i swego rodu, przetrwał wieki i jak klejnot starożytny bez skazy dożył nienaruszony naszych czasów. Prosta to budowa z cegieł, na półtora dziś łokcia w ziemię opadła kaplica w kształcie krzyża łacińskiego, z kopułą ukrytą pod czworobokiem na skrzyżowaniu nawy, z fryzem pociętym w zęby i rzędem pełnych arkad. Ale wewnątrz, do którego przez wąskie okna grubych murów przyćmione tylko pada światło, to prawdziwa symfonia barw, niby druga Grota Błękitna, przesiąknięta cała ciemnym szafirem mozaik, na którego tle błyszczą złote gwiazdy, wiją się wieńce z kwiatów, sploty z owoców lub z liścia i tworzą wdzięczne ramy dla symbolów Ewangelistów, postaci Apostołów i dwóch większych kompozycji: Chrystusa pasącego baranki po jednej stronie, św. Wawrzyńca idącego na śmierć męczeńską z drugiej. W trzech zagłębieniach ołtarzowych bieleją w niebieskim zmroku trzy sarkofagi, a w nich, wedle tradycji, spoczywa Galla Placydja, małżonek jej Constantius i syn Walentynjan.

Opowiadają, że dawniej przez szparę środkowego grobowca widać było siedzący w nim na krześle z cyprysowego drzewa szkielet niewieści, otulony w szkarłatny płaszcz i z błyszczącym diademem na głowie. Wiedzione ciekawością dzieci miały w roku 1577 przybliżyć do szpary woskową świecę, ażeby zajrzeć do wnętrza; od świece zajęły się próchna nagromadzone w grobowcu i cała jego zawartość spło-

nęła w ogniu doszczętnie. Może było to tylko jedno z tych sztucznie przyrzędzonych mamideł, jakimi tak chciwi zwłok sławnych ludzi i tak dumni z ich posiadania Włosi w zaraniu Odrodzenia nierzadko zwozili publiczność. Ale kto wstąpi dziś do mauzoleum Galli Placydji, zatrzyma się w niem dłużej i myślą przebiegnie dziwne koleje i losy tej ostatniej starego Rzymu pani, która czuwała nad nim wiernie do jego i własnej śmierci, temu wyobraźnia odtworzy i ukaże z pewnością w błękitnym zmroku cudownego grobowca dumne i tronujące jak dawniej przed wiekami, widmo dostojnej córki Teodozjusza.

III.

OSTATNI PRZYTUŁEK DANTEGO.¹

Mauzoleum Dantego, nieduża lecz kształtna kaplica w stylu późnego Odrodzenia, stawiana dopiero pod koniec XVIII wieku, przenosi podróżnego, który zwiedza pamiątki rawennackie, w inną znów epokę i inne budzi w nim nastroje. Z grobowca Galli Placydji dolatuje go jakby ostatni odgłos z dogorywającego starożytnego Rzymu, jakby jakiś smutny epilog wielkiej jego epopei, *Eneidy*. Tu, u prochów Dantego, w odzywających się w pamięci tercynach *Boskiej Komedji*, brzmi pełny, ale również pożegnalny akord średnich wieków, które wyniosła postać wieszczka dopełnia i zamyka. Burze szalejące w V wieku porwały ostatnią dynastję Cezarów z ostatnią jej godną przedstawicielką, Gallą Placydją, i przeniosły ją do Rawenny. Inne burze, w ośm wieków potem, wciągnęły w swój wir zapóźnionego rzymskiej idei wyznawcę i miećąc nim — jak sam mówi — jakoby »suchym liściem«, zawiąły i przrzuciły go także *in sul lido Adriano*, na wybrzeża adrzyatyckie, do uciszonej już i martwiejącej naówczas Rawenny.

¹ Niniejsza część III wypowiedziana była jako wykłady w cyklu »Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich« w Uniwersytecie Jagiellońskim, w marcu 1921 r., z powodu sześćsetnej rocznicy śmierci Dantego. (Przypisek autora).

Nowe te burze, to długi, bo dwa stulecia przeszło wypełniający, spór Gwelfów i Gibellinów, owa tragiczna kłótnia, która tworzy ciemne tło całego odłamu średniowiecza. Podzielić ją właściwie można na cztery odrębne okresy. Rozpoczęta w pierwszej połowie XII wieku na ziemiach niemieckich jako waśń dynastyczna dwóch domów, Welfów bawarskich i Hohenstaufów szwabskich, wywodzących ród swój ze zamku Weibling, w dzisiejszej Wirtembergji, przekracza ta walka, jak zaraza, śladem rzymskich wypraw cesarskich Alpy, i tam, we Włoszech, dzieli swą nazwę i znaki pomiędzy zapaśników w olbrzymim zmaganiu się berła z pastorałem. Gibellinami, w zwłoszczalej formie nazwy Weiblingen, zwą się odtąd stronnicy cesarscy i zwolennicy zasady uniwersalności cesarstwa, — Gwelfami, szeregujący się wokół papieży obrońcy wolności Kościoła. Ale wyprawy niemieckie do Włoch niosły tam także poczęty i wyhodowany na północy system feudalny, którego koroną była głowa świętego imperjum, czyli cesarz. We Włoszech, gdzie żyło wspomnienie, gdzie istniała jeszcze resztką ustrojów municypalnych, zaprowadzonych niegdyś mądrą polityką starych Rzymian, system feudalny znajdował wielu opornych. Zrzeszają się w drugiej połowie XII wieku bohaterskie miasta lombardzkie pod wrażeniem okrutnego zburzenia ich metropolji, Medjolanu, przez Barbarosę, w bitwie pod Legnano biją na głowę cesarza i w pokoju, zawartym w Konstancji, warują sobie wolność, pociągając swym przykładem grody tokańskie i romańskie, które wstają również w obronie swych wolności.

W ciągu tych walk nazwa Gwelfów i Gibellinów zmienia znów podmiot. Gibellinami zwą się zwolennicy zasad feudalnych, które krzewi cesarstwo, Gwelfami obrońcy wolności gminnych, skupiający się pod skrzydłem opiekuńczem Kościoła i papieży tej miary, co Aleksander III i Innocenty III, Grzegorz IX i Innocenty IV. Walkę tę, trwającą przez całą jeszcze połowę XIII w., kończy wreszcie załamanie się potęgi Hohenstaufów, przypieczętowane tragicznym zgonem młodocianego Konradyna na rusztowaniu w Neapolu. Zanik tak wielkiej i starej potęgi wysadza zrazu świat z posad. W Niemczech rozpoczyna się *die kaiserlose*,



MAUZOLEUM DANTEGO

Biblioteka Okręgowego Koła
Towarzystwa Wiedzy Wojskowej
w Krakowie

die schreckliche Zeit, jak ją Schiller w balladzie nazywa. Ze zniknięciem ogólniejszych celów, które samym swym ciężarem gniotły i niwelowały obie walczące strony a znosiły inne znamiona i różnice, w miejsce jednego sporu i jednej walki mnożą się teraz setkami kłótnie i bójki: jedno miasto chwyta za broń przeciw drugiemu, sąsiedniemu, zazdroszcząc mu znaczenia lub wpływu, — ród staje naprzeciw rodu, który śmie się z nim mierzyć, jednostka porywa się na jednostkę, zagrządzając jej równą ambicją drogę. Dotąd człowiek średniowieczny czuł się tylko składnikiem jakiejś rasy lub rodziny, częstką stronnictwa lub cechu. Teraz, jakby zbudzony łoskotem walącego się dotychczasowego świata, otwierał oczy, poznawał się i stawał sobą samym. Toteż zaklęty przedtem i jakby spętany czarem powszechnych, daleko sięgających idei indywidualizm rozwinął się tak nagle i rozkrzewił tak szybko, że już w zaraniu następnego XIV stulecia mógł Dante olbrzymi panteon i pandemonium *Boskiej Komedji* najróżnolitszemi a współczesnemi sobie postaciami zaludnić.

W tem przeobrażeniu w obozie dotychczasowych Gwelfów wyrabiają się demokracje i za wzmocnieniem ustroju gminnego kształtują rzeczpospolite. Po stronie gibellińskiej zaś silniejsze jednostki miejscowej arystokracji usuwają podstępem lub przemocą współzawodników i tworzą rodowe tyranje. Tak konsolidowały się w tej epoce z jednej strony dwie krańcowe rzeczpospolite morskie, Wenecja i Genua, prawda że w czysto arystokratyczno-oligarchicznym ustroju, a w środkowych Włoszech powstawały ludowe rzeczpospolite tokańskie, przedewszystkiem Florencja, potem Siena. Po drugiej zaś stronie, szczególnie w gibellińskich dotąd gniazdach, tworzyły się rodowe rządy absolutne, jak Viscontich w Medjolanie, Estów w Ferrarze, Scaligerów w Weronie, Bonacorsich, potem Gonzagów w Mantui, i tylu innych, pomniejszych, w innych miastach włoskich. Tam zwycięski lud zwie się teraz Gwelfem, tu wystrzelający ponad inne ród — Gibellinem. Tu i tam tętniło zaś nowe, młode życie. Wszak to ta chwila urodzajna, kiedy np. we Florencji, na przełomie wieku XIII na XIV, prawie jednocześnie, bo w przeciągu

lat dwudziestu, rozpoczynano budowę kościołów Santa Maria Novella i Santa Croce, Palazzo Vecchio i smukłego Campanile Giotto, a — *last non least* — budowę tumu Santa Maria del Fiore, słowem szeregu tych budowli wprawionych jak rząd pereł w przeducną konchę, która wypełnia dolinę Arna pomiędzy wzgórzami Fiezołańskimi a pagórkiem San Miniato. Jakby ostatnią widomą pamiątką dwuwiekowej walki Gwelfów i Gibellinów jest nieregularny kształt rządowego Palazzo Vecchio, bo wierna Gwelfom Florencja przykazała architekcie, Arnolfowi del Cambio, ażeby ani jeden kamień nowej budowy nie stanął na gruncie gibellińskim, a właśnie na jej krawędzi leżały grunta gibellińskiego rodu Ubertych, którego głową był znany z pieśni Dantego, groźny Farinata. W tych twórczych wysiłkach skupiała się na szczęście rozstrzelona skądinąd wola mieszkańców Florencji, i dekret gminy florenckiej, zlecający mistrzowi Arnolfowi budowę kościoła Santa Maria del Fiore, w podniosłych zaznaczał słowach, że, »należy dostroić budowlę miejskie do tej wielkiej duszy, która się składa z dusz wszystkich obywateli, połączonych jedną wolą«.

Śladem Florencji szły i inne miasta włoskie, a na dworach świeżo wyrosłych tyranów właściwa samozwańcom potrzeba olśniewania drugich i pokrywania bezprawi blaskiem przyspieszała ze swojej strony w przedziwny sposób tych dworów rozkwit, skąd padały na świat pierwsze promienie zorzy Odrodzenia. Ten nowy pan i władca, ten pnący się w górę książę, z otoczenia swojego, ze sług, doradców, urzędników i dworzan wydobywał chciwie dla swej ambicji i korzyści spoczywające na dnie ich duszy zdolności i siły. Prócz tego w gonitwie za sławą i blaskiem wyląwiał on zewsząd i ściągał do swego boku pisarzy, którzy go w piśmie uwielbiać mieli. Tacy najemni trębacze pochlebstw uważali się też sami za wszechmocnych szafarzy sławy lub rozdawców niesławy i już w XII w. groził jakiś marny wędrowny scholar, zebrząc o suknię, że w razie odmowy imię odmawiającego skaże na zapomnienie!

Równocześnie zaś, gdy się ten proces różniczkowania i indywidualizowania odbywał u góry, czyto w radzie miast wol-

nych, czy na dworach książąt, powiał od dołu, z pośród ludu, prąd odmładzający. Ponad gruzy i zgliszcza, zalegające ziemie włoskie w tym zmięczeniu wieków średnich, zabrzmiał już na początku XIII wieku z cichych dolin umbryjskich głos, jak równie słodkiego ucho ludzkie od czasów Chrystusa nie zasłyszało, głos przypominający, że Zbawiciel na miłości, nie na nienawiści świat budować kazał: Św. Franciszek i jego uczniowie stają się milicją społeczną, która broni maluczkich przeciw wielkim, słabych przeciwko silnym, uciśnionych przeciw krzywdzicielom, a z tej litościwej siejby wschodzą zapomniane i zatarte w ciągu wieków chrześcijańskie pojęcie godności i ceny duszy ludzkiej. Wśród tych dwóch prądów, indywidualizowania u góry, uspołeczniania u dołu, zamierał powoli duch średniowieczny, a budził się nowy.

I tu, na tej rozstajnej drodze dwóch światów, staje wielka postać Dantego.

Za wszystko, co ta ustępująca z widowni, tak odtąd często niesłusznie nazbyt ostro sądzona epoka zdziałała dodatniego i szlachetnego, za opiekę nad młodością chrześcijaństwa, za uratowanie wolności sumienia ludzkiego w ciągu walk berła i pastorału, za święty zapał krucjat, za strzeżenie i przechowanie w ukryciu wśród potopu wędrowek narodów i wśród następnych nieustannych zawieruch tego, co było zdrowem i pięknem w kulturze starożytnej, godne były średnie wieki pomnika. Na pomnik ten wyrosła *Boska Komedja*, streszczająca w cudnej pieśni wszystkie ich myśli i czucia, dążenia i prądy, naukę i wiedzę ówczesną. Czy wieszcz miał przytem na oku cel polityczny czy etyczny, religijny czy społeczny, o to się — jak słusznie zauważono — spierać jedynie mogą ludzie dzisiejsi, którzy te pojęcia dzielą i odgraniczają od siebie, a nie pamiętają, że dla człowieka średniowiecznego stanowiły one jedną, nierozzerwalną całość. W każdym razie, ograniczając się, jak to w tym szkicu zamierzeliśmy, do omówienia ideałów politycznych Dantego oraz skutków, jakie te ideały na własne jego wywarły losy, stwierdzić możemy, że Dante zawarł w *Boskiej Komedji* — mówiąc po dzisiejszemu — swoje *credo* polityczne i przekazał w niej swój polityczny testament.

Jakąż była bowiem myśl przewodnia, za którą szedł poeta w zaziemskiej wędrówce *Boskiej Komedji*? — W ostatnim rozdziale młodzieńczego swego dzieła, w *Vita Nuova*, w której występował w przeplatanych prozą kanzonach i sonetach pierwszą swą miłość do Beatryczy, potem żałobę po jej wczesnej stracie ślubował on, że jeżeli mu życia stanie, to powie o ukochanej »co o żadnej jeszcze nigdy powiedzianem nie było« — *che mai non fue detto d' alcuna*. — Ślubowanie spełnił, bo przemiana w *Boskiej Komedji* ziemskiej oblubienicy w niebiański symbol marzenia w źródło prawdy i uczucia w sumienie, to zaiste najwyższe uwielbienie miłości, »miłości, która się oczyszcza« — *amor che raffina* — jak sam taką transfigurację nazywa. Udoskonalona ta miłość rozszerza się, potężnieje i wyciąga dłonie do uścisku, ale już nie jednej ludzkiej istoty, tylko całej ludzkości, i dlatego Dante, dotrzymując równocześnie obietnicy danej w *Vita Nuova* pamięci Beatryczy, w liście poświęcającym pieśni o Raju słynnemu Can Grande della Scala, sam mówi, że głównym celem całego poematu jest »wyprowadzenie żywych w tem życiu z niedoli, a doprowadzenie ich do stanu wiecznej szczęśliwości«. Chodzi mu więc dla ludzkości o doczesność w spokoju i ładzie, o wieczność w rozkoszach niebieskich. Ideał doczesności ukazuje nam na chwilę w sześciu ostatnich pieśniach »Czyśćca«, w wizji Raju ziemskiego, — wieczności w trzeciej części poematu, w Raju niebieskim. Do osiągnięcia tych obu celów — jak mówi znów w traktacie *De Monarchia* — potrzebuje człowiek dwojakiego kierownictwa: kierownictwa papieża, który wedle Objawienia ród ludzki do żywota wiecznego prowadzi, i kierownictwa cesarza, który go wedle nauk filozofji do doczesnego wiedzy szczęścia.

Kto był we Florencji, ten zapamiętał z pewnością otwartą na krużganki starego klasztoru dominikańskiego przy Santa Maria Novella kaplicę, zwaną Cappelone dei Spagnuoli. Wnętrze jej wczesny jakiś malarz z *trecenta* ozdobił freskami. Niewiele znajdzie z owych czasów pamiątek, z którychby z równą wyrazistością przemawiał duch i uczucie, powaga i surowość średnich wieków. Podobny nastrój budzą tylko niektóre wnętrza tumów

gotyckich na północy, albo znów cyklopowe mury zamku papieskiego w Avignon, wyglądające na zrąb skały ociosanej na ludzkie siedlisko. Tu, na tym fresku, jako punkt koncentryczny całego obrazu, na tle tumu florenckiego siedzą cesarz i papież. Cesarz trzyma w rękę trupią głowę, symbol doczesności, a od niego rozciąga się ku lewej stronie szereg świeckich dostojników, król francuski, patrycjusze i rycerze. Takim samym rzędem stoją obok papieża kardynał, biskup i poczet duchownych, a pod tą wstęgą obu hierarchij pasą się dołem owieczki, czyli wierni, których napadają wilki-heretycy, a których bronią »psy pańskie«, *Domini canes*, Dominikanie. Z pierwszego planu biegnąca ścieżka wspina się na pagórek, na którym klucznik niebieski stoi na straży niebieskich wrot. Poza wrotami chóry anielskie oczekują wybranych i wiodą ich do rajy, a w pośrodku wreszcie, u szczytu, ponad papieżem i cesarzem widnieje w glorii postać Zbawiciela.

Obraz ten stanowi jakby ilustrację do wiersza Dantego z XVI pieśni »Czyśćca«, gdzie mówi:

*Soleva Roma, che il buon mondo feo,
Due soli aver, che l'una e l'altra strada
Facean vedere, e del mondo e di Deo.*

Rzym, który wyrwał świat wiecznemu wrogu,
Dwojgiem słońce rzucał w dwoje dróg swe blaski,
W drogę ku światu i w drogę ku Bogu.¹

Odnajduje się w tym fresku plastyczne przedstawienie owego ideału politycznego, który skonstruowały sobie średnie wieki, wywodząc mistyczny dualizm władzy papieskiej i cesarskiej, rządzącej światem, z dwojakiej, boskiej i ludzkiej natury Zbawiciela. Tę myśl, która jak nić Arjadny ciągnie się przez cały labirynt *Boskiej Komedji* i wiedzie za sobą poetę, rozproszdził on szeroko w traktacie *De Monarchia*.

¹ Prawie wszystkie cytaty z *Boskiej Komedji*, zamieszczone w niniejszym szkicu, są przekładu Edwarda Porębowicza.

(Przypisek autora).

Na ziemi — mówi on — powinno się odzwierciedlać niebo, a że w niebie jest jeden Bóg i Pan, tak więc i na ziemi rządy w jednym ręku spoczywać muszą i monarchja jest koniecznym dobrem ludzkości i ładu wśród niej warunkiem. Na takiego monarchę naznaczoną jest od Boga głowa imperjum rzymskiego, czyli cesarz. Bo podobnie jak Żydów wybrał Bóg, ażeby z łona ich wyszła wiara prawdziwa i powszechna, tak samo wyrokiem Bożym wybrany był Rzym na stworzenie uniwersalnego państwa. I tu wytacza Dante cały arsenał argumentów, zaczerpniętych z wiary i z nauki, z chrześcijańskiego i z pogańskiego świata, z proroków i z ewangelistów, z dziejopisarzy starożytnych i z poetów rzymskich, z Arystotelesa i z Ojców Kościoła, na poparcie i obronę swojej tezy. Czyż nie była widomym znakiem celów Bożych owa tarcza spadła z nieba w chwili ofiary, którą składał Numa Pompiljusz, nie cudem tyleż innych dziwów — *prodigia* — jakie ratowały z kolei Rzym w najcięższych terminach? Nie byłże protoplasta Rzymian, Eneasz, prawym spadkobiercą całego świata, on, który ród swój wywodził od Assarakusa Azjaty Dardanusa Europejczyka i Elektry, córki Afrykanina Atlasa, — Eneasz, małżonek Kreuzy, córki Priama z Azji, kartagińskiej Dydony z Afryki, i matki Albańczyków, europejskiej Lawinji? Tak samo i prorocy zapowiadali cesarstwo rzymskie, które spełniło, co kryło się w ich obietnicach pod figurą czwartego zwierza w Danielowym widzeniu, w miedzianych nogach pomnika Nabuchodonozora. Ale przedewszystkiem Zbawiciel, sam Zbawiciel uznał prawość rzymskich rządów nad światem, kiedy wcielił się i narodził za panowania cesarza rzymskiego, poddał się pod *census* rzymski przy spisie ludności, a stanął nakoniec przed trybunałem rzymskiego namiestnika, Pilata.

Dziś takie tchnące scholastyką argumentacje niebardzo zapewne trafiają do przekonania. Lecz ileżto z dzisiejszych teoryj lub doktryn po sześciu wiekach — jeżeli ziemia nasza terminu tego doczeka — żyć jeszcze będzie? A właśnie taki sam odstęp wstecz dzieli nas od Dantego i od innych wielkich umysłów ówczesnych, które podobnie jak on rozumowały. Bo np. właśnie ów wywód uznania państwa rzymskiego przez Chrystusa z faktu

wcielenia Bożego za panowania rzymskiego cesarza już przed Dantem przyjął i wysłowił nie kto inny, jak drugi obok Alighe-rego najgłębszy tej epoki umysł, św. Tomasz.

Ale co uderza, to że ludzie średniowieczni, a z nimi — może na ich czele — Dante, upatrywali tak bez wszelkich zastrzeżeń prawnych następców imperatorów rzymskich w cesarzach niemieckich. Uderza to tem bardziej, iż właśnie sami ci cesarzowie bardzo różnie tę swoją »rzymskość« pojmowali. Wierzył w nią prawdziwie taki Otton III, mistyk na tronie, który się chełpił, że poddał Rzymowi swoje Niemcy rodzinne. Ale w sto pięćdziesiąt lat później, gdy mówcy senatu i ludu rzymskiego witali nadciągającego pod Rzym Barbarosę pytaniem, czy nie raduje się z blasku, jaki na niego pada, gdy znów *senatus populusque romanus* przed nim staje, — *fuit, fuit*, »było to, było niegdyś«, przerwał im cesarz, zaznaczając w szyderyczym okrzyku, że stare światło zgasło na wieki, nowy zaś blask z niego na nich pada. Dla formalistycznych natur średniowiecznych wystarczała idea, obojętną zaś była osoba i jej wartość. Wystarczało namaszczenie i koronacja. Poza tem nie obchodziło nikogo, kim był i co był wart pomazaniec Boży w koronie, kto go wybrał i dlaczego go wybrano, i nawet czy on sam w posłannictwo swoje wierzy. Ludzie byli wszyscy owcami jednej owczarni, Kościół jak i państwo posługiwały się jednym językiem, łaciną, nie rozchodziło się więc o człowieka i jego miarę, rozchodziło tylko o symbol.

Lecz powróćmy do wywodów Dantego. Na współrzędność na najściślejszy parallelizm obu zbawczych dla ludzkości władz, kładzie on nacisk szczególny, a wyprowadza go stąd, że obie władze pochodzą wprost od Boga: z ramienia Bożego ma papież prowadzić wedle zasad Objawienia do szczęśliwości wiecznej, z ramienia Bożego cesarz podług normy rozumu, czyli na zasadach filozoficznych, do szczęścia doczesnego. I tylko z powodu, że wieczność wyższą jest od doczesności, Objawienie wyższe od rozumu, winien cesarz oddawać papieżowi cześć, jaką syn oddaje ojcu. Zresztą są sobie równi, a pomieszanie tego porządku jest źródłem wszelkiego zła na świecie.

Ta teoria uwielbienia imperjum rzymskiego i jego domniemanych dziedziców nie była bynajmniej herezją. Wszakże już w IV wieku pobożny poeta chrześcijański Prudencjusz kładł w usta umierającego na rozżarzonych węglach św. Wawrzyńca hymn dziękczynny do Boga za to, »iż postawił Rzym na szczycie wszelkich rzeczy ludzkich, aby zbliżyć wrogie sobie plemiona i zlać różnice narodów we wspólności słowa, myśli i wiary« — *...linguasque et ingenia et sacra Unis domare legibus*. Wszakże Leon Wielki mawiał, że Bóg przez stworzenie cesarstwa rzymskiego chciał łaskę zbawienia rozprzestrzenić na cały połączony świat; wszak papież Gelazjusz nauczał, że Chrystus rządzi światem zarówno przez powagę papieży rzymskich, jak i przez władzę rzymskich cesarzy. Jest to więc owszem tytułem chwały średnich wieków i tej ich właśnie teorii, że w powszechności imperjum, w którym Rzym starożytny, pogański, szukał tylko jedności podatku i miecza, Rzym nowy, chrześcijański, wskazywał drogę do wyższej spójni, spójni sumienia, wiary i Boga.

Tylko — i w tem leżała pomyłka Dantego oraz jego życiowa tragedia — teoria ta odpowiadała warunkom wcześniejszych wieków, w wieku XIII była już anachronizmem. Kiedy bowiem Leon III kładł koronę cesarską na skronie Karola Wielkiego, słaby jeszcze, a zewsząd uciśniony Kościół witał w nowym cesarzu dopełnienie niezbędne swej własnej władzy, a świat chrześcijański, gdzie żyła jeszcze w prawie i zwyczajach tradycja imperjum rzymskiego, wracał chętnie do porządku rzeczy, który ongi pokojem przynajmniej i ładem okupywał mu niewolę. Stosunek dobry obu władz mógł przetrwać i wiek X dzięki mądrości Ottona I, mistycyzmowi Ottona III, choć nosił bądź co bądź już wówczas cechę wybitnej przewagi cesarza nad papieżem. Z nadejściem XI wieku, ze wstąpieniem na tron dumnej dynastji salickiej, stosunek ten zmienia się przecieź odrazu radykalnie. Pokazuje się, jak zawsze, że świat może mieć kilku panów, poliarchję, ale, jakżeby przekleństwem kainowem, ciężącym na ludzkości, dla dwóch panów jest za ciasny, diarchji nie znosi. Rozpoczyna się więc trwające przez dwa wieki zgórą zmaganie się obu władz ze sobą, z których każda koordynację

w supremację zamienić usiłuje. Siły wazą się długo: raz bierze górę papieństwo, i Henryk IV w pokutniczej sukni korzy się w proch przed Grzegorzem VII pod murami zamczyska w Cannossie; to znów tenże Henryk osadza w Rzymie antypapieża ze swej poręki, a Grzegorz VII umiera opuszczony na wygnaniu w Salerno; to później Barbarossa zdobywa Rzym i wprowadza przemocą antypapieża na Stolicę Apostolską, pośród trupów za-
legających bazylikę św. Piotra aż po wielki ołtarz; to ten sam Barbarossa w kilkanaście lat potem składa na kolanach w kościele św. Marka w Wenecji hołd prawowitemu papieżowi, Aleksandrowi III, przyczem, jak mówi tradycja, na dumne słowa cesarza: *Non tibi, sed Petro*, odpowiada papież dumnie: *Et mihi et Petro*.

Pomyłka Dantego była tem większą, że przeminął był już i wiek XIII, który sprowadził przecież rozstrzygnięcie walki współzawodniczących teraz na śmierć lub życie obu władz, walki najdziwniejszego z cesarzy, Fryderyka II, którego wielki znawca tej epoki, Jakób Burckhardt, tak słusznie pierwszym nowoczesnym człowiekiem na tronie nazywa, a papieżami o surowym, średnio-wiecznym jeszcze zakroju, jak Innocenty III, Grzegorz IX, Innocenty IV. Teorja, że obie władze, papieska i cesarska, bezpośrednio pochodzą od Boga, teorja owych dwóch słońc, wiodących swoim złączonym światłem ludzkość, wstrząśniętą już była do głębi, im silniej papieże odpierali napór władzy świeckiej i jej zakusy wkraczania w dziedzinę praw duchownych. W obozie Gwelfów, grupujących się wokoło papieństwa, przyjęto inną na to miejsce formułę: mówiono, że papież jest słońcem, cesarz księżycem, który swoje światło od słonecznego zapożycza światła. Aż wreszcie »jedno światło zgasiło drugie« — *l'un l'altro ha spento* — jak mówi Dante w XVI pieśni »Czyśćca«. Z runięciem potęgi Hohenstaufów umiera zasada dwurządu światowego, owej wymarzonej diarchji, i papież Bonifacy VIII przywała ją, jakby kamieniem grobowym, słowami z bulli *Unam Sanctam*, opiewającami, że »jednego i jedyne Kościoła ciało ma jedną głowę, a nie dwie głowy, jakoby potwór« — *igitur Ecclesiae unius et*

unicae unum corpus unum caput, non duo capita, quasi monstrum.

Złudną była chęć tamowania w XIII wieku z taką siłą właśnie występującego prądu, który rozlane na świat wśród wędrowek narodów fale dzielił, żłobił im coraz głębiej osobne koryta i w odrębne je rozgraniczał strumienie. Dotąd tylko Wschód, tylko jedno Bizancjum stało naprzeciw świętego zachodniego cesarstwa: cesarze greccy uważali się za jedynych prawowitych następców dawnych imperatorów rzymskich, twierdzili, że z Konstantynem Wielkim Rzym Tyber porzucił i nad Bosforem osiadł, i dlatego z wysoka spoglądali na nowych panów Zachodu, tych w ich oczach uzurpatorów i samozwańców, których zwali pogardliwie »królami Lombardów« lub »księżętami Allemanów«.

Tylko ten Wschód był dla Zachodu mniej niebezpieczny, bo odosobniony właśnie swym orjentalizmem i w tem zaskorupieniu daleki i obcy. Groźniejszemi stawały się dla cesarstwa i jego idei bliższe, zachodnie sąsiedztwa: Hiszpanja, a przynajmniej ta część Iberyjskiego półwyspu, która wolna od maurytańskiego najazdu, była przyszłej Hiszpanji jądrem, a która nie uznawała nowych cesarzy rzymskich, powołując się na to, iż Rzymianie dobrowolnie niegdyś kraj ten porzucili, że kraj ten był więc *res derelicta*, którą każdy miał posiąć prawo; dalej Anglja, która we wczesnie rozwijającym się konstytucjonalizmie — bo *magna charta libertatum* pochodzi z roku 1215 — wyrabiała i swój narodowy indywidualizm; wreszcie i przede wszystkim Francja, już za pierwszych Kapetyngów strzegąca tak zazdrośnie swej królewskości, Francja skrzepiona w XIII wieku dzielnością Filipa Augusta, mądrością św. Ludwika, a teraz, w epoce Danteo, pod panowaniem Filipa Pięknego, który ówczesny nawet świat zuchwałością swą zdumiewał, występująca samorzutnie i przeciw cesarzom i przeciw papieżom. Wszakże ten Filip Piękny ośmielił się właśnie targnąć na groźnego Bonifacego VIII w Anagni, ale równocześnie odpierał jakieś roszczenia cesarskie w tak już charakterystycznym ze względu na epokę, a znamienym na wszystkie czasy zwrocie, że cesarz żąda *nimis germanice*, — »zanadto po niemiecku«!

Danteo ideał nie był tak dalekonośny i skrajny, ażeby w wymarzonej powszechnej monarchji, w świętem imperjum wszystkie narody w jedną chciał wtłoczyć formę. Przeciwnie, nawet samej owego imperjum głowie, samemu cesarzowi zakreślał granice władzy doktryną konstytucyjną o stanowisku monarchy, jako sługi prawa. Ale cesarstwo miało być podług niego węzłem, zespalałym różnaitość w spójni. I dlatego obok nuty uwielbienia dla imperjum nie brzmi może żadna inna w *Boskiej Komedji* równie namiętnie, jak nuta nienawiści do tego nowego tworu, powstającego w dawnej, nieznaczącej kiedyś rzymskiej Lutecji, do tej młodej monarchji Kapetyngów, która już w samym początku zwiastowała, że stanie się zaprzeczeniem świętego imperjum rzymskiego, że niepodległa, zwarta, samowita i rzutka nie zniesie dawnych formuł i krępujących węzłów, ale zerwie je, pójdzie naprzód i przykładem swoim świat za sobą porwie.

*Io fui radice della mala pianta
Che la terra cristiana tutta aduggia,
Si che buon frutto rado se ne schianta.*

Jam jest korzeniem złośliwego drzewa,
Co cieniem swoim tak zaciemnia ziemię,
Że rzadko owoc dobry gdzie dojrzewa.

mówi protoplasta Kapetyngów, Hugo, do poety w »Czysćcu«, w słynnej inwektywie przeciwko tym, którzy darli »Chrystusową koszulę bez szwu«, jak poeta zjednoczone cesarstwo nazywał, i próbowali świat w »wielogłowy potwór« — *bellua multorum capitum* — zamienić.

Skądże więc Dante, urodzony w tem samym dziesięcioleciu, kiedy ostatniego z Hohenstaufów głowa spadła na rusztowaniu, który był już dojrzałym mężem, kiedy Bonifacy VIII ogłosił odzrucającą wszelką diarchję bullę *Unam Sanctam*, Dante, który instynktem tak dobrze przeczuwał, do jakich zmian prowadził świat wzrost Francji, a sam dożył wreszcie najradykałniejszej z nich, sprowadzonej przez Kapetyngów, bo wyrwania papieżstwa z Rzymu i przeniesienia go do Avignonu, — skądże więc Dante

dochował wbrew i pomimo tego tak niezłomną wiarę w cesarstwo, taką ufność w onegoż posłannictwo?

Otóż dlatego, iż jak to u natur szlachetnych a mistycyzmem owianych częstem bywa zjawiskiem, w miarę piętrzenia się przeszkód i oddalania rzeczywistości, ideał ich rośnie jeszcze i potężnieje, staje się dla nich droższym i świętszym, mianowicie gdy okupiony bywa cierpieniem. A tęsknotę Dantego wzmagła własna niedola, wygnanie, tułactwo. Patrzył na ludzkość, wijącą się w bólach, jakie sprowadza za sobą każda przełomowa epoka, i wśród kłótni wicherzących rodzinne miasto, których padł ofiarą, wśród walk rozdzierających świat, które trapiły społeczność chrześcijańską, szukał zgody, szukał spójni, a znajdował ją tylko w owej starej teorii o dwóch regulatorach świata, o dwóch władzach powszechnych: papieskiej, wiodącej ludzi do chwały na wysokości, i cesarskiej, sprowadzającej pokój na ziemię. Szczęśliwe dla potomności złudzenie, kiedy stąd w pieśniach *Boskiej Komedji* brzmi wciąż tak cudnie — to w grzmotach trąb archanielskich, to w szmerach mistycznych chórów — echo obu tych hymnu Betleemskiego hasel: *Gloria in excelsis* i *Pax in terra...*

Mimo jednak teoryj politycznych, którym holdował, nie można Dantego wprowadzić do Gwelfów, ale niepodobna również do Gibellinów zaliczyć. Wyszedł był z pewnością z obozu pierwszych, którzy prawie zawsze mieli przewagę we Florencji. Wiadomo zresztą, że zamłodu, w r. 1289, walczył w ich szeregach przeciw florenckim i aretyńskim Gibellinom pod Campaldino. Potem teorie polityczne zbliżyły go znów do Gibellinów. Ale czasem jednych i drugich potępił, a znamiennem jest, w jak doniosłym ustępie swego poematu potępieniu temu dał wyraz. Bo gdy w VI pieśni »Raju« pojawiający się pocie cesarz Justynjan w wspaniałym panegiryku wielbi rzymskie cesarstwo i cesarskie orły, wywód swój kończy gromką apostrofą do Gwelfów i Gibellinów, wyrzucając pierwszym, że święte godło orła zamieniają na złote lilje francuskie, drugim, że znaku »świętego ptaka« — *il san' uccello* — dla własnych, stronnicych nadużywają korzyści.

*L'uno al pubblico segno i gigli gialli
Oppone, e l'altro appropria quello a parte,
Si ch'è forte a veder qual più si falli.*

Ten przeciw godłu wszechcesarstwa pręży
Złote lilije, ów dla własnej chuci
Używa; nie wiem, kto z nich grzeszy ciężej.

Zresztą te dwie, choćby tylko z wieku czcigodne nazwy przestaczały się, jak widzieliśmy, ciągle i stosowały z kolei do innych walk i stronnictw. We Florencji, w chwili rozstrzygającej w życiu Dantego, bo kiedy rozgrywał się dramat jego banicji, miasto podzielone było na dwa obozy sporem Białych i Czarnych: do ostatnich należał stary patrycjat florencki, broniący swych praw, do pierwszych nowe warstwy wzbogaconych kupców, z których w sto lat później wyjść mieli i wystrzelić ponad wszystkich Medyceusze. »Ten sam spór, — pisze w swym jasnym i ciętym stylu inny, późniejszy Florentczyk, Machiavelli — ten sam spór, który zamącał Rzym, rozdzierał, jeżeli wolno mniejsze rzeczy przyrównywać do wielkich, także i Florencję. Ale skutki bywały tu i tam odmienne. Niezgoda, która w pierwotnych czasach dzieliła lud i patrycjat, wyradzała się tam, w Rzymie, w kłótnie, tu we Florencji, w bójki. W Rzymie kłótnie te kończyły się ustawą, we Florencji wygnaniem lub śmiercią obywateli«.

Ofiarą tych nieustannych starć i przewrotów we Florencji, którą Bonifacy VIII niedarmo piątym żywiołem nazywał, a Dante w VI pieśni »Czyśca« przyrównywał do chorej wijącej się na pościeli i szukającej ulgi w ciągłej zmianie, miał paść i sam poeta. Jak się to stało, to rzecz zawila i ciemna. Bo jak te opary, które podnoszą się z mokradel okalających Rawennę i przesłaniają miejsce jego snu wiecznego, jak te alegorje, któremi oplótl on sam swoje pieśni, kryjąc w nich głęboko, na samem dnie nieraz prawdę, tak samo wieki zataryły po nim ślady i sprawiły, że życie tego, który tajemnice śmierci rozświecił, samo się w gęstą mgłę tajemnic zasnęło. Jest to właśnie tak znamienne, że niema chyba poety, któryby równie skąpo o sobie samym, o życiu swoim i epizodach z tego życia mówił, a jednocześnie

w każdym słowie, drgającym życiem, pozwalał tak głęboko wnikać w myśl i czucie, w duszę i serce własne.

Bo nawet data jego urodzenia, na wiosnę 1265 roku, na domysłowych zestawieniach tekstów się opiera. Rejestrów urodzeń w XIII wieku nie znano. Kapłan w battisterio florenckiem, gdzie chrzczono wszystkie dzieci urodzone we Florencji, za każdym ochrzczonym chłopcem rzucał czarny, za każdą dziewczynką biały groszek do puszki, i według tego obliczano pod koniec roku męski i żeński przyrost ludności miasta. Podobne zmroki zakrywają jego młodość i wychowanie. Zawdzięczał on z pewnością wiele uczonemu ziomkowi, Brunettowi Latini, bo w XV pieśni »Piekła«
dziękuje mu, iż go za życia uczył, *come l'uom s'eterna*, — »jak się człowiek unieśmiertelnia.«
Nielada to z pewnością dla mistrza pomnik, choć postawiony mu w piekle. Ale uczeń zaznacza znów sam w pierwszym swem dziele, w młodzieńczej *Vita Nuova*, że prawdziwego swego tytułu chwały, *l'arte del dire parole per rime*, sztuki poetyckiej, sam się nauczył, a później w cudnym zwrocie XXIV pieśni »Czyścica«
dodaje, że

. . . gdy tchnie miłość, śpiewa i w tej mierze,
Co mu dyktuje, wypowiada słowa.

. . . . *Io mi son un che quando
Amore spira, noto, ed a quel modo
Che detta dentro, vo significando.*

Miłość była też prawdziwą kierowniczką jego życia, mistrzynią jego genjuszu. Tylko w ewolucji jego życiowej rosła i potężniała; z istoty ludzkiej, z Beatryczy, przeniosta się na ludzkość całą, a jak w Boskim poemacie dosięgła na końcu szczytów empirejskich i zjednoczyła się w miłości Boga. Nie leży w założeniu tego szkicu rozstrząsanie miłości Dantego do Beatryczy, szukanie nici w misternej tkaninie uczuć i holdów, składanych przez poetę ukochanej, na wzór prowensalskich trubadurów, we *Vita Nuova*, tej w najzupełniejszym znaczeniu słowa prawdzie i fantazji, *Dichtung und Wahrheit*, zmieszanych i powikłanych ze sobą. Ale wspominając o zagadkach biografji Dantejskiej, prze-

milczeć trudno, że wedle nielitościwej ale ścisłej krytyki nowocześniejszej i jej mikroskopijnej analizy, nie wiemy o Beatryczy niczego, a dowiedziano nam tylko, i to nie lada jakimi argumentami, że Beatrycze, córka Folca Portinari, nie była córką Folca, nie nazywała się Portinari i że jej nawet prawdopodobnie nie było na imię Beatrycze, pod którym to pseudonimem ukrywał Dante, na wzór współczesnych trubadurów, prawdziwy przedmiot swej miłości. Ale temu żadna krytyczna analiza zaprzeczyć nie zdoła, że to pierwsze uczucie, obudzone w młodem chłopięciu, było tak wielkie i silne, że wyrzeźbiło na zawsze duszę poety, kiedy pamięć zbyt wcześnie zmarłej ukochanej żyje w nim do końca i kiedy ta pierwsza, czysta miłość prowadzi go jak sumienie przez wszystkie burze lat jego dojrzałych i doprowadza do Boga.

Dopiero te burze właśnie rzucają znów nieco więcej światła na losy poety, bo działalność jego publiczna występuje wyraźniej na tle dziejowych wypadków.

Wspomnieliśmy już, że na przejściu XIII wieku na XIV wichrzył Florencję przeniesiony przez wygnańców z Pistoii spór Białych i Czarnych. W Pistoii były to kłótnie możnego rodu Cancellierich pomiędzy sobą. We Florencji zabarwione były one gwelfizmem i gibellinizmem. Ale i tu rodowe ambicje grały rolę i rozchodziło się o współzawodnictwo zbliżonego do Gwelfów, starego i potężnego rodu Donatic i przechylających się na stronę Gibellinów bogatych kupców, Cerchich. Czarni zwrócili się do papieża Bonifacego z prośbą, ażeby powagą swoją zażegnał kłótnie i uspokoił miasto. Znający wygórowane ambicje papieża Biali, z obawy przed wmieszczeniem się jego w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej, chwycili za broń i na ulicach Florencji zawrzała walka. Wtedy to rządzący przyrzeczy miejscy, w których gronie w r. 1300 zasiadał właśnie Dante, »za jego poradą«, jak zaznacza wyraźnie uczony i historyk florencki z XV wieku, Leonardo Bruni, wygnali z miasta przywódców jednej i drugiej strony, Czarnych i Białych. Biali, ku którym skłaniał się poeta, powrócili przeciw prędko w rodzinne strony. Czarni ze zdwojonym naciskiem odnieśli się powtórnie o pomoc do Rzymu i z ramie-

nia Bonifacego VIII, w dzień Wszystkich Świętych 1301 roku, wkroczył Karol Walezjusz, brat Filipa Pięknego, króla Francji, jako oficjalny »pacyfikator« do Florencji. W kościele S. Maria Novella ślubował on uroczyście utrzymać pokój i czuwać nad dobrem miasta. Ale przybycie jego było hasłem mściwej reakcji Czarnych: tegoż samego jeszcze dnia wtargnął na ich czele dumny Corso Donati do Florencji, rozpędził urzędujących priorów i puścił sforę siepaczy na domostwa i włości Białych. Przez kilka dni trwał krwawy odwet; część miasta spłonęła w ogniu, a z Białych wielu poległo, resztę wygnano z Florencji.

Z Białymi uchodził i Dante. Czy wprost z Florencji, czy z Rzymu, gdzie posłował podobno w onej chwili na dwór papieski, stwierdzić tem trudniej, iż wogóle przypisywane mu liczne poselstwa są przeważnie późniejszym wymysłem humanistów z XV wieku. Ale co się da stwierdzić w zachowanym po dziś dzień wyroku, to że już w trzy miesiące po tej katastrofie, 27 stycznia 1302 roku, nowo wybrany *podestà* florencki, Cante de Gabrielli, skazał go zaocznie na wygnanie. Sprzedaż urzędów, nieprawne zyski, przymus, przekupstwo, sprzeciwianie się woli papieża i Karola Walezjusza, mącenie spokoju Florencji — oto rejestr zarzucanych z zaciekłością stronnicy Dantemu i jego towarzyszom przestępstw i zbrodni. Dnia 10 marca tegoż roku zapadł wyrok drugi. Niestawienie się przed trybunałem i niezapłacenie nałożonej kary poczytane było za przyznanie się do winy. Stwierdzał to ów drugi wyrok, zaostrzony dodatkiem, że gdyby zasądzony wpadł kiedy w ręce władz florenckich, miał być spalony na stosie — *ut igne comburatur, sic ut moriatur*.

Z tą chwilą rozpoczyna się dwudziestoletnia prawie, aż do zgonu trwająca tułaczka poety, długa droga krzyżowa, ale błogosławiona dla potomności, bo kto wie, czy nie w głównej mierze z rozbudzonych tęsknotą i żalem wygnańczym miłości i nienawiści wytrysła wielka Dantego pieśń. Pytanie to nasuwać się musi zwłaszcza tym, którym najpiękniejsze własnej, ojczystej literatury kwiaty zakwitły przecież także pośród udręki wygnańczego pielgrzymstwa.

»Odkąd — pisze sam Dante w *Convito* — spodobało się

obywatelom najpiękniejszej i najslawniejszej córy Rzymu, Florencji, stracić mnie z uroczego swego łona i wygnać z miejsca, gdzie przyszedłem na świat i wyrosłem i gdzie pragnę z głębi serca znękaną dać spoczynek duszy i odmierzone mi dni zakończyć, — odtąd przebieżałem, pielgrzymując jak żebrak, wszystkie niemal okolice, gdzie ta mowa rozbrzmiewa, i nie z własnej woli pokazywać musiałem rany, zadane mi przez los, rany, które zwyciężonemu źli ludzie wytykać zwykli. Zaprawdę, byłem ja jako ta łódź bez steru i żagli, miotana od przystani do przystani suchym wiatrem, którym boleściwa oddycha nędza, i zmałałem i ja i moje dzieła w oczach wielu».

Rozdzierająca to skarga zranionej duszy, nie mniej wymowna od owych powszechnie znanych, słynnych tercyn z XVII pieśni »Raju«, w których protoplasta poety, stary rycerz poległy w Ziemi Świętej na krucjacie, Cacciaguida, przepowiada mu wygnanie:

*Tu lascerai ogni cosa diletta
Piiu caramente; e questo è quello strale,
Che l'arco dell'esilio pria saetta.*

*Tu proverai si come sa di sale
Lo pane altrui, e com'è duro calle
Lo scendere e 'l salir per l'altrui scale.*

Najprzód porzucisz najśodsze kochania,
To pierwsza będzie z twych losów przygody
Strzała puszczone po łuku wygnania.

Poznasz następnie, jakie gorzkie gody
Spożywać cudzy chleb, jak uciążliwa
Droga, wstępować na nieswoje schody.

Jakie były te »nieswoje schody« — *l'altrui scale* — na które wygnańczy pielgrzym wstępował? Gdzie i którądy błakał się w czasie długiego tułactwa?... To znowuż tyleż zagadek postawionych badaczom, którzy już od sześciu wieków mozolnie ślady jego śledzą. Że go ów »suchy wiatr, którym oddycha boleściwa

nędza«, miółł daleko i w rozmaite strony, tego dowodów w *Boskiej Komedji* jest poddostatkiem. Bo ilekroć wymienia jaką miejscowość — a wymienia ich tak wiele — zawsze jakimś rysem charakterystycznym nadaje takiemu miejscu cechę osobistego, indywidualnego wspomnienia; czy np. kiedy mówi o cmentarzach w Arles nad Rodanem, lub w Poli, nad Quarnerem, czy kiedy nazywa ulicę w Paryżu — *vico degli Strami*, — na której nauczał niegdyś Sigier z Brabantu, czy kiedy stojących kołem nad ostatnim kręgiem piekła olbrzymów porównuje do wieżyc okalających gród Montereggione w Sieneńskim, lub wrzącą smołę w ósmym jarze piekła do kipiących smolnych kotłów w arsenałach weneckim.

Z prorocstwa Cacciaguidy wynika, że najpierw błąkał się na granicach toskańskich ze współwygnańcami, którzy, jak to skądinąd wiadomo, kilkakrotnie usiłowali utorować sobie zbrojny powrót do Florencji, — zawsze napróżno. Potem, jakby zbrzydzonego duchem partyjnym towarzyszków, porzucił ową »kompanję niewdzięczną, głupią i bezecną«, jak ją sam nazywa. Z tą chwilą zrywa ostatnie węzły stronnice, ale zrywa je, jak mówi, »ku własnej chwale«; odtąd bowiem »staje się sam sobie stronnictwem« — *fa parte per se stesso*, — samotnie, ale w prawdziwej *splendid isolation*, która go uprawni do roli sędziego, wzywającego przed trybunał *Boskiej Komedji* współczesnych, aby ich własnym wyrokiem wywyższać do rajów, naprawiać w czyszcach, lub strącać do piekieł. Po zerwaniu z towarzyszami znajduje pierwszą gościńnię wygnańczą u Bartolommea della Scala w Weronie, później, za drugim zapewne zawodem, u słynniejszego jego brata, zwanego Can Grande, któremu odplaca gościnność najpierw pochwalnym ustępem w *Boskiej Komedji*, potem dedykacją trzeciej jej części: »Raju«. Ale tu się urywają wróżby Cacciaguidy, a więc własne o swem tułactwie świadectwa poety. Dalszych kroków pielgrzyma już tylko poemacku w zapiskach kronikarzy z XIV wieku szukać trzeba, a zapiski to skąpe. »Po wygnaniu z Florencji, — pisze Florentczyk Villani — udał się poeta na wyższą szkołę do Bolonji, potem do Paryża i do innych miejsc świata«. O podróży do Paryża w późniejszym już wieku wspo-

mina także najwcześniejszy jego biograf, Boccaccio. Są również, bardzo co prawda zatarte, ślady pobytu jego w Padwie, na wyższej szkole padewskiej. Przelotnie, jak stwierdza dokument z roku 1306, przebywał w Lunigianie, gdzie godził spory margrabiów Malaspinów z biskupem z Luni. Gościł podobno również u Ordeffich w Forli, ale odnośne świadectwa są o wiele późniejsze, więc niepewne.

Tyle pewnego, że wygnany z rodzinnego miasta, tułał się, błąkał i przerzucał z miejsca na miejsce, a wciąż marzył o powrocie do Florencji, której wspomnienie odzywa się tak często wśród zaświatowej wędrowki *Boskiej Komedji*, to w żalu i gniewie za doznaną krzywdę, kiedy np. z gorącym sarkazmem radować się jej każe, że nietylko »po lądzie i morzu skrzydłami bije«, ale że jej »imię rozbrzmiewa i w piekle«, gdzie tylu ziomków spotyka; to znów w wyrazie tkliwej tęsknoty za tą »piękną owczarnią, kędy spał jagnięciem — *il bello ovile, ov'io dormii agnello*. — Wówczas to, wśród tych wędrowek, zbierał on cegłę po cegle pod budowę potężnego gmachu, na jaki rosła *Boska Komedja*. Wówczas też narodziły się dwa wielkie, acz niedokończone jego traktaty naukowe, pisane prozą, — pierwszy włoską, drugi łacińską: cztery księgi *Convito*, na wielką skalę założonej niby encyklopedji nauk i wiadomości współczesnych, oraz dwie, a raczej półtora ksiąg *De vulgari eloquentia*, w których zamierzał zestawić naukę poetyki, ale która w pozostałym urywku obejmuje tylko studjum filologiczne o powstaniu i dzieleniu się języków i dialektów romańskich. Dydaktyczny charakter obu traktatów wskazuje zresztą na to, że w szkole bolońskiej, paryskiej, może i padewskiej nietylko uczył się, ale i nauczał. Boccaccio, mówiąc o późniejszym jego pobycie w Rawennie, zaznacza wyraźnie, że wykształcił tam kilku scholarów. Ale ślady nauczycielstwa sięgają już w ową wcześniejszą epokę, a Giovanni da Serravalle, biskup z Fermo, który na soborze w Konstancji *Boską Komedję* na język łaciński tłumaczył, powiada w komentarzu, że Dante w Paryżu *legit sententias pro forma magisterii; legit Biblia* — czyli że, mówiąc po dzisiejszemu, poeta wykładał już w Paryżu sentencje Piotra Lombarda i Pismo Święte.

W ten sposób szukał snadź zapomnienia zawodów, bo właśnie burze szalejące wszędzie targwały na strzępy wszystkie jego ideały. Na cóż bowiem padał wzrok jego, kiedy się rozglądał dokoła? Widział najpierw rodzinną Florencję szczelniej niż kiedykolwiek przed nim zawartą triumfem Czarnych, którzy zyskiwali przewagę w całej niemal Toskanji; widział północne Włochy poćwiartowane walką mnożących się z każdym dniem tyranów, a w Lombardji już ugniatane jarzmem wyrastającego ponad inne rody — rodu Viscontich; widział południową połać półwyspu zakrwawioną we wznawianych wciąż bojach neapolitańskich Andegawieńczyków z sycylijskimi Arragonami; słowem cały »ogród cesarstwa« — *il giardin del imperio* — opuszczony, zapomniany przez tych, którzy go według niego uprawiać byli powinni, przez owych cesarzy, z których od pół wieku przeszło żaden nie przekroczył Alp. Trzeźwi, a odstraszeni katastrofami Fryderyka II, Manfreda, Enzia, Konradyna elektorowie niemieccy na trzech bowiem z rządu elektach, na Rudolfie z Habsburga, na Adolfie z Nassau i na Albrechcie Austriackim już przy wyborze ich wymogli, aby się zrzekli zgóry wszelkich fantastycznych wypraw do Włoch, owych tradycyjnych *Römerzugów* po koronę cesarską, aby się strzegli owych zwodniczych uścisków włoskich, które, jak niegdyś Herkules Anteusza, oderwały i ostatnich Hohenstaufów od ojczystej, mocodajnej ziemi i zawiody na zagładę i śmierć. Idea powszechnego imperjum zdawała się więc już jakby zwichniętą na wieki.

A na co patrzył poeta po drugiej stronie chrześcijańskiej społeczności, po stronie duchownej, gdzie miała rządzić władza papieska?... Najpierw dożył katastrofy Bonifacego VIII, patrzył na uwięzienie i sponiewieranie bezbronnego starca przez nasłanych zbirów Filipa Pięknego, przez Nogareta i Sciarę Colonna w Anagni. Widok ten wstrząsnął tak potężnie ówczesnym chrześcijańskim światem, że nawet z ust poety, który zniechęconemu Bonifacemu VIII za jego życia jeszcze miejsce wiecznego potępienia o ósmym kręgu piekła wyznaczył, wyrwał się teraz okrzyk bólu i grozy, jakby na powtórzenie męki Zbawiciela w osobie jego zastępcy na ziemi:

*Veggio in Alagna entrar lo fiordeliso
E nel vicario suo Cristo esser catto...*

Widzę w Alagna wchodzącą liliję
I Chrystowego więzy Namiestnika...

A przecież gwałt, spełniony w Anagni, był tylko epizodem, jakoby wstępem do większej tragedji papiestwa, która się miała wkrótce rozpocząć. Po śmierci Bonifacego VIII i krótkim panowaniu jego następcy, rosnący wpływ Filipa Pięknego, potęga — jak już zaznaczyliśmy — będąca żywą negacją uniwersalności cesarstwa, sprawiły, iż nowo wybrany papież, Francuz z rodu, Bertrand de Got, arcybiskup z Bordeaux, wstąpiwszy na Stolicę Apostolską, przeniósł tę stolicę z Rzymu do Francji. Rozpoczęła się i trwać miała przez lat kilkadziesiąt era rządów papieskich w Avignon, era słusznie w dziejach niewolą Babilońską papiestwa nazwana. Papiestwo, wyrwane z Rzymu i jakby odcięte od naturalnych korzeni, jakeimi dlań są spoczywające tam kości apostołskie, pozbawione przez opuszczenie Rzymu owej cechy zewnętrznej uniwersalności, jaką w średnich wiekach Rzym, kolebka i siedlisko imperjum rzymskiego, każdej nadawał władzy, traciło przez to dobrowolne wygnanie na powadze, znaczeniu i mirze. Poddanie się papieży pod wpływ zbyt bliskich królów Francji, a w tej chwili władcy tak bezwzględny i przewrotny jak Filip Piękny, zamącić musiało świat i zachwiać sumienia. A jeżeli w pół wieku jeszcze potem hulające na pobojuwisku pod Poitiers żoldactwo śpiewało z urąganiem:

*Si le pape est Français
Jésus Christ est Anglais*

to cóż musiało się dzieć w duszy Dantego, dla którego Rzym był alfą i omegą porządku świata? Toteż z pewnością wówczas wydarł mu się z piersi ów okrzyk, jedyny w całej *Boskiej Komedji* zgrzyt zwątpienia, gdy biadając nad niedolą Italji wołał do Boga:

*E se lecito m'è, o sommo Giove,
Che fosti in terra per noi crocifisso,
Son li giusti occhi tuoi rivolti altrove?*

Boski Jowiszu, coś umarł ochoczy
Na krzyżu, przebacz grzeszne me pytanie:
Czyś zwrócił indziej sprawiedliwe oczy?

I właśnie w tej samej chwili zwątpienia zaszedł fakt, który miał wskrzesić wszystkie jego nadzieje i obudzić ze snu marzenia. Dnia 1 maja 1308 r. w okolicy Bazylei, a niedaleko rodzinnego gniazda Habsburgów, padł Albrecht I, a drugi na tronie niemieckim Habsburg, z ręki bratanka Jana, noszącego odtąd przydomek Parricidy. Natychmiast wyciągnął ambitny Filip Piękny dłoń po berło cesarskie dla brata, Karola Walezjusza, i w tym celu jął zabiegać o pomoc kurji papieskiej w Avignon. Klemens V pojął odrazu, jakie niebezpieczeństwo zagrażało stąd papieżu i owej resztki niezawisłości, której Stolica Apostolska w nowej swej siedzibie strzegła. Bo diadem cesarski na skroniach członka rodu Kapetyngów, którzy panowali we Francji, a przez krewnych andegaweńskich jednocześnie i w południowych Włoszech i w Prowancji i na Węgrzech, skupiałby w jednym domu taką potęgę, o jakiej się nawet Hohenstaufom nie śniło. Prócz tego książęta niemieccy, wyemancypowani właśnie od upadku Hohenstaufów z pod silniejszej zwierzchności, nie chcieli już mieć nad sobą prawdziwego pana. Za ich więc i papieża wspólnem usiłowaniem padł wybór na nieznaczące książętko, o pochodzeniu i wychowaniu nawpół niemieckiem, nawpół francuskim, na pana niezbyt wielkich włości z nad brzegów Saary i Mozelli, Henryka, hrabiego na Luksenburgu. Ukoronowany w Akwizgranie w dzień Trzech Króli 1309 roku, Henryk VII, założyciel nowej cesarskiej dynastji i dziadek najrealniejszego, najpraktyczniejszego z cesarzy niemieckich, mądrego Karola IV, był sam z natury idealistą i romantykiem. Nie dbał o to, co się wewnątrz w Niemczech działo, a gonił jedynie za odleglejszym celem wskrzeszenia świętego imperjum. Ale od sześćdziesięciu czterech lat, od klątwy rzuconej przez Innocentego IV na cesarza Fryderyka II i od złożenia go z tronu,

kraje i miasta włoskie, jak już widzieliśmy, odpadły były od cesarstwa, usamowolniły się, a idea zwierzchności cesarskiej znikła wśród nich zupełnie. Pomimo tego przecież, kiedy w ciągu lata 1310 roku Henryk VII przybył do Lozanny, skąd miał nowy *Römerzug* wyruszyć, stanęli przed nim wysłannicy rozlicznych państw, miast i stronnictw włoskich: jedni szukali u przyszłego cesarza poręczenia swej samowolnie nabytej władzy, — drudzy, wygnańcy, ofiary wewnętrznych włoskich sporów i kłótni, zabezpieczenia im powrotu do rodzinnych gniazd. Tylko ze strony Florencji, a za nią Sieny i Bolonji, oraz od rozpoczynającego właśnie po zgonie ojca rządy w Neapolu, ambitnego króla Roberta Andegaweńczyka brakło powitalnych poselstw. Była to groźna zapowiedź oporu, gotującego się we Włoszech przeciw tej nowej koronacyjnej wyprawie, a potrzeba było nielada siły, aby taki opór przelamać. Garsć awanturnicznych rycerzy — *chevaliers d'aventure*, — którzy towarzyszyli marzycielskiemu wodzowi, nie wystarczała. Prócz tego Henryk VII, pochodzący z ubogiego domu Luksemburgów, rozpoczynał poczet tych cesarzy niemieckich, których kłopoty finansowe krępowały wciąż dotkliwie wśród następnych wypraw do Włoch; cesarza Fryderyka III przezywali przecież później żartobliwie Włosi *pochi danari*, czyli »kusopieniążkiem«, a o jego synie, cesarzu Maksie, pisał tak charakterystycznie *le loyal Serviteur* w życiorysie Bayarda: *l'argent était la chose en ce monde dont le dict empereur était le plus souffreteux...*

We wrześniu 1310 r. przekroczył Henryk VII Mont Cenis, około Bożego Narodzenia stanął w Medjolanie, a w dzień Epifanii następnego roku uwieńczył skroń żelazną koroną lombardzką. Zrazu nie brakło mu powodzenia. »Prawie wszystkie miasta, wszyscy panowie Lombardji — pisze kronikarz Villani — stanęli przed nim w Medjolanie, aby mu złożyć hołd i zasilić go pieniędzmi. On zaś naznaczył wszędzie namiestników, prócz dla Bolonji i Padwy, które się przeciw niemu połączyły z Florencją... W kwietniu zdobył Vicenzę i Cremonę, a potem ruszył na Brescię. Ale Brescię dopiero po długim oblężeniu i po doznaniu dotkliwych strat osiąść zdołał. Potem podążył do Genui, skąd

wysłał poselstwo do Florencji. Z Florencji jednak posłów jego sromotnie wypędzono, a Florentczycy, których za to do odpowiedzialności pociągnął, nie oglądali się zgoła na niego, ale przeciwnie, jęli gotować się do obrony«.

Tyle Villani. Tymczasem za przykładem Brescii i Florencji podniosło się wiele miast innych, a czy nie starczyło Luksemburczykowi sił na poskromienie tylu rebelij, czy że się ludzi, iż korona cesarska, włożona mu na czoło w Rzymie, olśni Włochów i uśmierzy sama przez się te wybuchy, dość, że zostawiając na tyłach pożogę, gnał naprzód i zatrzymał się już tylko we wiernej zawsze cesarzom, gibellińskiej Pizie, aby stamtąd ruszyć po koronę cesarską do Rzymu.

A gdzie przebywał naówczas Dante?... W ostatnich latach, poprzedzających te wypadki, zacierają się ślady jego we Włoszech zupełnie. Stąd wniosek, że na ten okres przypada jego pobyt w Paryżu. Ale z chwilą rozpoczęcia wyprawy Henryka VII do Włoch rozbrzmiewa znów jego głos, a rozbrzmiewa tak górnienie i patetycznie, że prorocy Starego Testamentu nie witaliby inaczej przyścia oczekiwanego Mesjasza. Z każdego słowa wyciera wiara w spełnioną już obietnicę, nadzieja bliskiego zbawienia, miłość dla nowego zbawcy, a wszystko na miarę olbrzymią, jaką odmierzał zawsze każdą swoją duchową koncepcję. Zawsze nadludzki, takim jest także w złudzeniu.

Ale tu znowu my, na przykładach z dziejów własnej literatury, najprędzej tajemnicę takiego szału iluzji pojąć zdołamy. Wszak wiemy, jak cierpienia tułacze, długie oczekiwanie i tęsknota nastrajają wielką duszę poety, jak łatwo podnosi on w mistycznej egzaltacji na szczyty wymarzonego ideału zdarzenie lub człowieka, który przybliżenie tego ideału zwiastować mu się zdaje; — wszak pamiętamy, jak się ta wielka dusza rozlewa naówczas w pieśni »na pożegnanie..... wylanym łzom, spełnionym snom«, z wiarą, że »tajne brzemie lat, wydało plód i stał się cud, i rozraduje świat...«

Tak samo Dante nie analizuje ani sił, ani osoby tego, w którym widzi Wybrańca Pańskiego, ale owszem mierzy jego »siły na zamiary«, a w nim samym wita lwa z pokolenia Judy,

drugiego Mojżesza, który lud wybawi z plag egipskich, łaski pełnego Henryka, boskiego Cezara Augusta. Zabiega mu drogę, spotyka go na granicach szwajcarskich, czy już poza Alpami na ziemi włoskiej, i następnie w płomiennym piśmie mówi doń, że kiedy ręką stóp jego dotknął, grały mu w duszy radosne słowa: *Ecce Agnus Dei, ecce qui abstulit peccata mundi* — »oto Baranek Boży, oto który zglądził grzechy świata....« Ostatnie to hosanna umierającej idei i ostatni zawód największego z jej wyznawców.

Bo w marnym, przewlekającym się pochodzie dotarł Henryk VII dopiero w maju 1312 roku do Rzymu. Tam zawrzała długa walka między przybyszami z północy a załogą neapolitańską króla Roberta, która zajęła Św. Piotra i Watykan. Przeniesienie się Stolicy Apostolskiej do Avignonu wzmogło bowiem ambicje włoskich Andegawenczyków i król Robert własną powagą autorytet cesarski we Włoszech zastąpić zamierzał i dlatego zrzeczył wokół siebie wszystko, co pozostawało jeszcze z żywiołów gwelfickich na półwyspie. — Nareszcie rankiem dnia 29 czerwca opuścił Henryk rezydencję swoją w klasztorze św. Sabiny i przybrany w białą togę, z rozpuszczonym włosom, zjechał na siwym rumaku w pochodzie koronacyjnym z Awentyńskiego wzgórza. Ale w pobliżu Kolosseum zawrócił orszak nie do bazyliki św. Piotra, gdzie dotychczas zawsze koronowano cesarzy, tylko w stronę Lateranu, gdyż grobów Apostolskich strzegły andegawenckie rajtary. W Lateranie zastępca papieża, biskup z Porto, jako kardynał-legat namaścił wybrańca, który zaraz po koronacji orędziem do książąt duchownych i świeckich ogłosił im wyniesienie swoje na tron cesarski i wezwał ich do skupienia się pod znakiem orła. Grzmiącym protestem odpowiedział król Robert: »Wybór króla rzymskiego — pisał — przeszedł na ludzi niemieckiego języka, na plemię niezgodne i brutalne, odznaczające się dzikiem barbarzyństwem, a nie chrześcijańskim obyczajem, tak, że rabunku nie poczytuje sobie za grzech. Dlatego nie może się Niemiec zgodzić ani z Francuzem, ani z Włochem i do nich stosuje się co mówi Pismo: niemasz obcowania Żydów z Samarytaninami«.

Czyż nie dziwnie brzmią te słowa, pisane przed sześciu wiekami, a jakby wczoraj z pod prasy wyjęte?...

Z tej samej chwili, na wiosnę 1311 roku, z której pochodzi ów list Dantego, witający Luksemburczyka na ziemi włoskiej, zostało inne jeszcze jego pismo, poczytywane przeważnie za autentyczne. »Z granic tokańskich nad źródłami Arna« zwraca się w niem poeta »do niecných ziomków florenckich«. Jak tam wzywał cesarza do poskromienia Florencji, tak tu w równie górnym stylu biblijnych prorocत्व nawołuje Florentczyków do poniechania oporu, a grozi im — za wcześnie — zwycięstwem i zemstą cesarza. Ale i ta droga powrotu do gniazda była mu odcięta. Z Rzymu, skąd neapolitańskich wojsk wyrugować nie zdołał, a gdzie po kolei opuszczali go towarzysze przewlekłej imprezy, ruszył narreszcie cesarz, w kilka miesięcy po koronacji, na podbój Toskanji. Lecz Florencja dzielnie stawiała mu czoło i oblężenie odparła. Wzmacniał ją z dnia na dzień napływ wygnanych Gwelfów, których wespół z wygnanymi stronnikami Białych już bez różnicy powołano z powrotem na obronę miasta. Kilku przecież wygnańców wykluczono wyraźnie z amnestji, a na liście wykluczonych widniało i nazwisko Dantego Alighieri. Tak więc z nieudaniem oblężeniem Florencji stracił poeta resztkę nadziei powrotu pod skrzydłem orłów cesarskich do rodzinnego miasta, a wyjęcie z pod amnestji zatrzasnęło przed nim bramy florenckie silniej jeszcze — i już na zawsze.

I czekał go jeszcze jeden cios, ostateczny, rozwiewający w puch jego marzenia, burzący podwaliny, na których system swój polityczny przez całe życie budował i przy którym pomimo zawodów stał nieugięty i wierny: nędznie, bezchwalebnie dobiegał kresu *Römerzug* Luksemburczyka. Przez chwilę, w lecie 1313 r., zdawało się, że się znów szale na stronę cesarską przechyla. Z północy syn cesarski, król Jan Czeski, obiecywał posiłki i gotował się na przebycie Alp; na południu Fryderyk Aragoński łączył własną, sycylijską flotę z genueńską, ażeby uderzyć na Neapol i zgnieść stającą wpoprzek woli cesarskiej potęgę andegaweńską. Z Pizy, gibellińskiej swojej twierdzy, ruszył cesarz w początku sierpnia jeszcze raz w pole, w dolinę Arbii, skąd

otwiera się droga wiodąca do Rzymu. Ale sterane w długiej wyprawie zdrowie poczęło się mu rwać, a kąpiele w Macerato nie przyniosły ulgi. Chorego w beznadziejnym stanie postanowiono odnieść na noszach z powrotem do Pizy. Smutny kondukt nie zdążył już do celu. W Buonconvento, nad drogą rzymską, wyzionał cesarz Henryk ducha. Zwłoki odniesiono do Pizy i złożono pierwotnie w tumie. Dziś sarkofag ze szczątkami cesarskimi zdobi zachodnią połąć cudnego *Campo Santo* pizańskiego. Ale wspanialszy pomnik wystawił wymarzonemu swemu ideałowi Dante w XXX pieśni »Raju«, kiedy Beatrycze wskazuje mu na wyżynach mistycznej róży, gdzie króluje święta milicja, tron przygotowany »dla wzniosłego Henryka«

. *quel gran seggio...*
Dell'alto Arrigo ch'a drizzare Italia
Verrà, in prima ch'ella sia disposta.

. co dźwignąć Italję
 Przybędzie wprzódę, nim gotową będzie.

In prima — »wprzódę« — ?... W tem jednym słówku streszcza się zdumiewająca pomyłka poety, pomyłka, która wyrosła na jego życiową tragedję. Ale niemniej przeto wspaniałą jest ta wierność i stałość w nadziei, zamknięta w okrzyku, że zawcześnie było jeszcze na spełnienie się jego myśli, — w chwili, kiedy w nowym, przeobrażonym świecie była ona już spóźnioną i martwą.

Ze śmiercią cesarza Henryka robi się znów wokoło Dantego cicho. Dopelniać przychodzi biografię poety tradycją, która postać jego legendami oplótła. A do tej chwili, kiedy ten wielki apostoł pokoju wśród społeczności chrześcijańskiej ujrzał, że »cel wieków — znów daleki«, stosuje się jak wraz podanie, żyjące po dziś dzień w żywej miejscowej tradycji włoskiej: Pewnej nocy, u wrót odludnego górskiego klasztoru w Appeninach stanął smutny, znużony pielgrzym. »Czego żądasz?« zapytał sztukajacego do drzwi furtjan. *Pace* — »spokoju« — brzmiała tęskna odpowiedź tajemniczego pielgrzyma. I rzeczywiście na te lata przypada zapewne schronienie się Dantego w cichej pustelni Santa

Croce di Fonte Avellana, w okolicy Gubbio, w klasztorze, którego wspomnienie brzmi w mistycznych tercynach XXI pieśni »Raju«, gdzie św. Piotr Damiani opowiada poecie o własnych, we Fonte Avellana spędzonych dniach, kiedy się tam »żywił zapatrzeniem Bożem« — *contento ne'pensier contemplativi*. — Ale z namiętnej, drgającej życiem duszy Dantego, gromkie echo odpowiadało i z tego nawet zacisza głosom przedzierającym się tam z zewnątrz. Bo już w roku 1314 brzmią znów płomienne, jak zawsze, jego słowa, zwrócone do włoskich kardynałów, zebranych po zgonie Klemensa V w Carpentras, a zaklinające ich, aby wyborem Włocha na Stolicę Apostolską i powrotem z Avignonu położyli kres sieroctwu Rzymu. Także Florencja przypomina go sobie niebawem znowu, a przypomina okrutnie: bo na dniu 6 listopada 1315 r. feruje namiestnik króla Roberta Neapolitańskiego, Ranieri di Zaccaria d'Orvieto, nowy, już trzeci na niego, a tym razem i na jego synów wyrok, skazujący i ojca i synów, gdyby kiedykolwiek dostali się w ręce władz florenckich, jako Gibellinów i buntowników na śmierć przez ścięcie. Czy była to zemsta Andegawńczyka i Florencji za apostołowanie w czasie wyprawy Henryka VII do Włoch idei cesarskiej, czy Dante i jego synowie nawiązali może stosunki z tymi włoskimi władcami na północy, którzy — jak Ugucione della Fagiuola w Pizie i bliski z pewnością poecie Can Grande della Scala w Weronie — podnieśli jeszcze i po śmierci Luksemburczyka, a dzierżyli wysoko i nie bez powodzenia sztandar gibelliński, tego dojść niepodobna. Najwcześniejszy biograf dantejski, Boccaccio, zapisuje o tych latach bowiem tylko te krótkie słowa, że »z powodu śmierci Henryka VII, ktokolwiek z nim trzymał, stracił teraz wszelką nadzieję, a przedewszystkiem Dante, który o powrocie myśleć przestał i przez Appeniny do Romanji poszedł, gdzie go czekał ów dzień ostatni, mający położyć kres wszystkim jego znojom«.

Rawenna stała się ostatnią przystanią tułacza, ostatnim etapem ziemskiej jego wędrówki. Tu dojrzywał owoc jego żywota, tu kończył on *Boską Komedję*. Wspomnień Rawenny w samym poemacie nie znajdzie dużo: wszak wiemy już, że zostawił on w nim zwierciadło duszy, nie pamiętnik życia. Ale znamiennem

jest, że w chwili przełomu w poemacie, w chwili kiedy w zaświatowej podróży zeszedł pielgrzym *per tutti cerchi del dolente regno* — »przez wszystkie kraju boleści pierścienie«, — wspiął się z kolei przez wszystkie stopnie doskonalące czyśćca i dotarł wreszcie u jego szczytu »wśród światła i woni« wiosennego poranku do ziemskiego raju, porównując do wtóru ptaszęcych gwarów szeleszczący w rajskiej dąbrowie powiew, wspomina on, iż

Podobnie szumi w podraweńskiej sośnie
W Chiassi na morskim brzegu, gdy sirokiem
Południe nagle powieje ku wiośnie.

*Tal qual di ramo in ramo si raccoglie
Per la pineta in su lido di Chiassi,
Quand' Eolo Scirocco fuor discoglie.*

Czyż nie brzmi w tem wspomnieniu Rawenny przy dojściu do kresu jakoby nuta wdzięczności za uciszenie po burzy, które wiek ze sobą niesie, za balsam, którym czas w swoim nieubłaganym, ale i miłosiernym wiecznym biegu rany goi? To niezawodnem, że Rawenna dostraja się jak wraz w wyobraźni do kończącego wśród jej murów tułaczy swój żywot wieszczka. Tu widzi się tego ostatniego Rzymianina z duszy i z serca, jak stoi jakby na straży grobowców ostatnich Cezarów rzymskich, pilnując ich prochów i wierząc niezłomnie i do końca w ich ziemskie zmartwychwstanie; tu, w cieniu starych chrześcijańskich bazylik Rawenny pojmuje się łatwiej natchnienie wyśpiewanych na tem miejscu końcowych pieśni »Raju«, które, wolne od ziemskich namiętności, brzmią już dźwiękiem mistycznym Serafickiego chóru.

Zresztą bowiem ostatnie lata życia poety są nie mniej zamglone, osłonięte tajemnicą, od poprzednich. W znanym życiorysie Dantego, najwcześniejszym, spisany przez Boccaccia, poświęca im wprawdzie autor aż stron kilka. Ale z wielomownego, miłego nowellisty niewiele konkretnych wiadomości zaczerpnąć można. Charakterystycznym jest z pewnością, że już w trzydziści czy czterdzieści lat po zgonie skazanego na śmierć przez ro-

dzinną Florencję Dantego, Florentczyk zaznacza, jak każdy zmarłego wieszczą ziomek »winien mu hołdować« — *a suoi onori sia in solido obligato*; znamiennem, że ten w drugiej połowie wieku, w którym Dante zamknął oczy, najcelniejszy właśnie i największego u współczesnych zażywający wzięcia pisarz z Florencji, sam się do obowiązku tego hołdu poczuwa. Ale sam też dodaje w zajmującym zwrocie, że cześć wieszczowi wyrazi »nie posągiem ani pięknym grobowcem, który to zwyczaj dziś wśród nas wygasł«, ale »pismem, nie dorastającym takiemu zadaniu« — *con lettere povere a tanta impresa* — i życiorys Dantego swego pióra zwie pokornie, ale słusznie, »traktacikiem« — *un trattatello*. —

Ten *trattatello* nie należy zresztą bynajmniej do celniejszych pism Boccaccia. Ale jest cenny jako najwcześniejsza biografia Dantego, jedyna wśród ciemności świeczka, rzucająca choć odrobinę światła na ostatnie lata i na śmierć poety. Z powodzi słów, które już w tem zaraniu humanizmu wylewają się zewsząd na świat i aż po koniec XVI wieku nieprzerwanie go zalewać będą, tyle pewnego wyłowić można, że błakającego się po Romanji poetę Guido Novello da Polenta na dwór swój gościnny w Rawennie powołał, że ugaszczal go tam przez lat kilka i że Dante — jak to już wspomnieliśmy — nauczał w Rawennie poetyki, przedewszystkiem włoskiej — *quivi con le sue dimostrazioni fece più scolari in poesia e massimamente nella vulgare*. Z nim wspólnie osiedli dwaj jego synowie, Piotr i Jakób, podobno i córka Beatrycze, w Rawennie; żona, Gemma z rodu Donatic, i reszta potomstwa pozostała od chwili wygnania poety na zawsze we Florencji. Wedle kroniki Villaniego w r. 1321 posłował Dante z ramienia Guida da Polenta do Wenecji. Choć w ścisłych i dokładnych kronikach weneckich niema śladu jego nazwiska, stwierdzony skądinąd fakt, że tegoż roku wybuchł spór pomiędzy Rawenną a Wenecją, i że oba miasta stały do siebie nawzajem poselstwa, potwierdza, a w każdym razie nie zadaje kłamu świadectwu Villaniego. A tenże Villani dodaje krótko, że za powrotem z Wenecji umarł Dante w Rawennie.

Śmierć dosięgła go istotnie — jak ciągnie znów swoje opo-

wiadanie Boccaccio — »w dzień, w którym Kościół święci Podwyższenie Krzyża świętego«, — czyli 14 września 1321 roku »A Guido Novello — kończy tenże Boccaccio — kazał martwe zwłoki wieszca na katafalku insygnjami poety ozdobić i na barkach najznakomitszych obywateli rawennackich ponieść do kościoła Braci Mniejszych w Rawennie, ze czcią takim szczątkom należną. Sam zaś wśród płaczu otaczających szedł za zwłokami, a wróciwszy do domu, gdzie mieszkał zmarły poeta, wedle rawennackiego obyczaju na cześć zmarłego oraz na pociechę żalobnych przyjaciół długą i ozdobną wypowiedział mowę«.

Odtąd Florencja, którą Dante sam *vuota d'amore e nuda di pietate* — »miłości próżną, z litości obraną« — nazywał, wznawiała wielokrotnie usiłowania, aby osiąść pełne chwały szczątki poety i odprowadzić je tam, gdzie on niegdyś »spał jagnięciem« — *dove dormi agnello*, — nad brzegi Arna. Ale Rawenna strzegła ich zazdrośnie i prochy Dantego pozostały jej skarbem na zawsze.

Sąsiadują więc ze sobą grobowce Galli Placydji i Dantego, te dwa słupy graniczne czasów, z których jeden oznacza koniec starożytnego świata, drugi zmierzch wieków średnich. Bo jak to już niejednokrotnie w studjach nad labiryntem dantejskich zagadnień podnoszono, a czego może nikt równie subtelnie nie rozprowadził, a z pewnością nikt piękniej nie wyraził jak Julian Klaczko w swoich *Wieczorach florenckich*, — Dante, to najwyższe wcielenie średnich wieków, ten najdosłojniejszy ich bard i apostoł, był zarazem wieków tych grabarzem, a zwiastunem nowej ery, zorzą nowego światła. I tak on, krzewiciel zasady powszechności monarchji rzymskiej, nietylko najgorętszy tej idei wyznawca, ale najboleśniejszy za nią męczennik, zakłada dla swojej Italji najsilniejszą podwalinę odrębności narodowej, stwarza język włoski; on, scholastyk z wiary i uczucia, porzuca w wielkim swym poemacie dawny, średniowieczny parallelizm Starego i Nowego

Testamentu, a zastępując go parallelizmem chrześcijańskim i pogańskim, wskrzesza, odradza starożytność i otwiera w ten sposób naościęz wrota humanizmowi, który scholastyce berło z ręki wytrąci; on wreszcie, ostatni wielbiciel tych wieków średnich, które w swych zmrokach uśpiły indywidualizm, potęgą uczucia i wszechstronnością wiedzy z jednej strony, a siłą i głęboością charakterystyki z drugiej, budzi gwałtownie ten indywidualizm ze snu, i jak później Michał Anioł do swego marmurowego Mojżesza, woła doń: *adesso parla* — »teraz mów«, — a odpowiadają mu na wezwanie wszystkie wielkie duchy Odrodzenia, które natchnęły.

Ale właśnie dlatego w obecnej dobie i dla naszego pokolenia, które stanęło znów na tak wyraźnym dziejowym skrećie, rola Dantego na przelomie epok staje się tem bardziej zajmującą, rzec można aktualną. Bo nasze pokolenie ma już wszystkie dane, ma już własne przeżycia i doświadczenia, aby pojąć i jego ideał i jego pomyłkę. Któż bowiem lepiej od nas, którzyśmy przebyli co dopiero ohydę wielkiej wojny, którzy żyjemy dotąd wśród drgań konwulsyjnych, jakie każdy wielki kataklizm na długo po sobie zostawia, któż lepiej od nas zrozumieć, odczuć zdoła tęsknotę Dantego za pokojem, za ładem, za harmonją na świecie? A jeżeli mylił się w lekarstwie na te bóle ludzkości, jeżeli wierzył w żywotność strupieszalego cesarstwa rzymskiego w tym kształcie i w tych warunkach, jakie mu wytworzyły wieki średnie, to dlatego, że samej tej idei blask ołsniewał go i zakrywał przed jego wzrokiem istotę tego kształtu i rzeczywistość tych warunków. Ale sam cel godny był czci, bo w uniwersalności cesarstwa szukał on nie czego innego, jak owej wspólnej owczarni — *unum ovile* — którą Chrystus na spełnienie wieków obiecał, a o którą przecieź każdy z nas co dnia woła w prośbie Modlitwy Pańskiej: »przyjdź królestwo Twoje...«

W XVII pieśni »Raju« nakazuje pradziad Cacciaguida Dantemu, ażeby całą swoją wizję ludziom »na pokarm życiowy« — *vital nutrimento* — objawił. Nam, pokoleniu z epoki przelomu, niesie *Boska Komedja* przedewszystkiem »na pokarm życiowy« tę naukę, że za przykładem Dantego umiłowanie całą duszą

przeszłości, z wszystkim co w niej drogiego nam, pięknego i szlachetnego, mężna obrona tych skarbów, nie powstrzyma czasu w swoim biegu, nie zatamuje nowych prądów, ale uczyni z każdego z nas dodatnie narzędzie w ciągłej ewolucji świata, z których ten, kto wytrwa, wyjdzie z przełomowych cierpień, jak niegdyś Dante z czyśćca:

Czysty i gotów, by wzlecieć na gwiazdy

Puro e disposto a salire alle stelle.

BIBLIOGRAFJA.

- Agnelli, *Liber pontificalis Ecclesiae Ravennatae*. Rerum. ital. script., Muratori, T. II.
- S. Ambrosii *Opera omnia*. Paris, Gauthier 1836, 2 vol.
- S. Augustini *De civitate Dei*.
- Iornandez, *De rebus geticis*. Rer. ital. script., Muratori, T. I.
- Paulus Diaconus, *De gestis Longobardorum*. Rer. ital. script., Muratori, T. I.
- Paulus Orosius, *Histor. adversus Paganos*. Corp. script. eccles. latin. Vindobona, Gerold 1882.
- Spicilegium Ravenn. Historiae* Rer. ital. script., Muratori, T. I.
- Boccaccio, *Vita di Dante*. Firenze, Sansoni 1888.
- Villani Giovanni, *Cronica*.
-
- Albers, *Histoire Ecclésiastique*. Paris, Lecoffre 2 vol.
- Boissier Gaston, *La fin du Paganisme*. Paris, Hachette 2 vol.
- Bryce James, *Le St. Empire romain germanique*. Paris, Colin et Comp. 1890.
- Burckhardt Jakob, *Cultur der Renaissance*. Leipzig, Seemann 2 Bde.
- Gibbon, *Histoire de la décadence et de la chute de l'Empire Romain*. Paris 1840. 2 vol.
- Goetz, *Ravenna* (Berühmte Kunststätten). Leipzig, Seemann 1901.
- Grisar, *Geschichte Roms u. der Päpste im Mittelalter*. Freiburg in. B. Herder 1898.
- Klaczko Juljan, *Causeries Florentines*. Paris, Plon 1880.
- Ozanam, *La civilisation au V-ème siècle*. Paris, Lecoffre 1895. 2 vol.
- Ozanam, *Dante et la Philosophie catholique*. Paris, Lecoffre 1895.
- Reumont, *Geschichte der Stadt Rom*. Berlin, Hofdruckerei 1867 3. Bde.
- Ricci, *Ravenna*. (Italia artistica). Bergamo, Instit. Ital. d'Arti Grafiche 1903.
- Scartazzini, *Dante Handbuch*. Leipzig, Brockhaus 1892.
- Sismondi, *Histoire des republ. ital. du moyen-âge*. Paris, Nicolle 1809.
- Thierry Am., *Aventure de Placidie*, w »Revue des deux mondes« 1850, T. VIII.
- Wegele, *Dantes Leben und Werke*. Jena 1865.
-

SPIS RYCIN.

Medal Galli Placydji, bity w Rawennie	po str. 4
Mauzoleum Galli Placydji	po str. 4
Mauzoleum Teodoryka	po str. 20
Mauzoleum Dantego	po str. 64

SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
I. Pamiątki rawennackie	1
II. Córka Teodozjusza	22
III. Ostatni przytułek Dantego	63
Bibliografia	98





60149/2

39